

227,317

LEO LIPSKI

PIOTRUŚ

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1960

LEO LIPSKI

PIOTRUŚ

BIBLIOTEKA "KULTURY"
TOM IV

PIOTRUŚ

WYDAWCA: WYDZIAŁ WYDAWNICZY
INSTYTUTU LINGWISTYKI I LITERACKI

Wydawca: Edition et Librairie "LIBELIA"
15, rue St. Louis-en-l'Île, Paris + ZYRAJ

BIBLIOTEKA " KULTURY "
Tom LV

PLOTINUS

IMPRIME EN FRANCE

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA”
12, rue St. Louis-en-l'Île, Paris, 4^e

LEO LIPSKI

PIOTRUŚ

(APOKRYF)

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1960

LEO LIPSKI

PIOTRUS

WYDZIAŁ "ARTYSTYCZNY"
(KARTY)



II 224.514

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001004643971

INSTITUT PAPIERACKI

1960

PARYZ

1960 N 1273

*Kto odda się całej jednej, wielkiej czy małej,
sprawie, w dodatku beznadziejnej — ten
musi umrzeć w końcu za nią, albo też przez
nią.*

Maria Dąbrowska
(„Noce i dnie”, Tom „Miłość”).

1.

Było to w Palestynie, na Ziemi Świętej, gdzieś z wiosną 194...

Wtedy to właśnie byłem zmuszony okolicznościami i długami moralnymi, wywiesić nad swoją głową wielki szyld w językach niemieckim, hebrajskim i angielskim:

PIOTRUŚ WRAZ Z ODZIEŻĄ — DO SPRZEDANIA

2.

Targ wielki, nieustający jarmark, bazar właściwie, suk lub szuk. Rojna, długa ulica, gdzie chodziło się z trudnością, o przecznicach pachnących drobiem i mięsem. Przecznicze te, pozornie podobne do włoskich uliczek, spadały ku morzu, wiecznie mruczącemu. Można tu było kupić po cenach znacznie niższych takie rzeczy jak grzebyki, kury, majtki jedwabne, pomarańcze, korale, nieskończoną ilość przedmiotów dużych i małych, nawalonych często kupą, przewyższającą człowieka.

Przekupnie krzyżąc zachwalali swój towar. Arabowie wpadali w ekstazę, pluli, klęli błyszcząc oczami, które wylażyły z orbit. Byłem za każdym razem zdumiony ich wytrzymałością, zdumiony i przerażony. Przez dziesięć godzin bez przerwy:

— Czosnek dobry, czosnek nadzwyczajny, czosnek malinowy, honolulski, nieprawdopodobny.

A gdy chciało się odpocząć od gwaru, schodziło się w owe uliczki, pachnące drobiem, które zawsze, po takich czy innych zakrętach, spływały ku morzu.

Ale ja sobie na to pozwolić nie mogłem. Po prostu nie miałem możliwości. Musiałem jeszcze dziś, teraz, zaraz, już się sprzedać.

Na granicy Tel-Avivu i Jaffy, gdzie kupowali Żydzi i Arabowie, gdzie był tłum największy, nikt mnie zobaczyć nie mógł, przypuszczam to dziś. Siedziałem tyłem do morza, z lewej Tel-Aviv, z prawej wysoki, daleki minaret. Tam był już szuk całkiem arabski.

Jajka ułożone w piramidę. Twarze zakryte złotymi monetami. Srebro i złoto. Mężczyźni w fezach, turbanach, kucali, popijając herbatę. Beduin z dywanikiem na ziemi. Dużo naczyń glinianych, flaszeczek. Koło niego kobiety kucaly, mówiły coś długo. A potem różnokolorowe proszki. Rozprowadzał je uroczyście i dawał pić. Lekarz, kosmetyczka, zamawiacz, sprzedawca lubczyków.

W ciemnych dziurach bram palili nargile. Błado-niebiskawy dym. Uliczki były węższe, czarniejsze, pełzające jak żmije. W ich cieniu można było zobaczyć piękne dywany, kupić owce, osiołki, kozy i wielbłądy. Słońce grzało już mocno, o co tutaj nie jest trudno. Pociłem się bardzo. Byłem prawie nagi. Pomacała mnie chuda pani i odeszła. Była już dziesiąta. Zrezygnowany.

Robiło się coraz to gęściej. Jarzyny, mięso już ledwo widoczne i tak podobne do ciemnych skór tutejszych ludzi, kolorowe chustki, spoceni rzeźnicy, całe tony słońca opadającego ciężko, kwiaty — to wszystko kręciło się w kółko, potem oddzielało, odpływało po mału, nikięło, równocześnie rodziło się na nowo, wyciągane z szuflad, z komór, z czeluści sklepów i składów. A spodem arabskiego targu, nurkowali mali chłopcy, pięcioletni, niewidoczni w tłumie, roznosili małe filiżanki kawy, herbaty, wyptywając w miejscach bezpiecznych. Śmierdziało falaflem. Trochę dalej

arabskie lody, niezrównane, robione gołymi rękami i językiem. Można było zamówić w kształcie bramy lub kwiatu.

3.

Podeszła do mnie starsza pani, czarno ubrana. Zbliżyła twarz do mojej, mokrej z potu. Poczujęm smród jej ust, fetor nieznośny. Pochyliła się, ja siedziałem. Zobaczyłem brudny stanik, połowę piersi. Miała czarne rozbiegane oczy. Kucnęła. Zaczęła mnie gruntownie macać. Nie pominęła żadnej części ciała. Kazała wstać. Uczyniłem to niezgrabnie. „Aha” — mruknęła. Macała mnie dokładnie, niby kurę, czy ma jajka, czy jest tłusta. Bała się widać, bym nie był dostatecznie zdrow ani też zbyt chory, by umrzeć jej zaraz. Byłem widać w sam raz, bo powiedziała po niemiecku:

— Bo widzi pan, mój mąż po śmierci leżał w lodówce w szpitalu i kosztowało mnie to masę... Tu mięso rozkłada się tak szybko.

4.

Nagle poruszenie, jakby pomruk. Ludzie zaczęli się tłoczyć. Groziło zawaleniem bud.

I wtem, jakby się rozwarło morze, mały osiołek z brodatym Arabem. Za osiołkiem brodate wielbłądy, kiwające się dostojnie, które poruszały się w ten sposób, jakby każda część ciała wykonywała dowolną funkcję. Objuczone po dachy domów.

5.

— Och, jak mnie przycisnęli do muru — powiedziała moja pani. Oddycha ciężko.

— To było — mówi, nawiązując do poprzedniego — to było jeszcze podczas procesu. Tego o otrucie. A co pan robił wczoraj, przedwczoraj?

— Wczoraj? Wczoraj opuściłem dom, rodzaj sanatorium, rodzaj domu starców. Wczoraj to właśnie było. Wszedłem na balkon a tam płacze stara Żydówka.

— Dlaczego pani płacze? — pytam.

— Bo jestem stara i muszę umrzeć. Tak odpowiedziała.

I jeszcze powiedziała:

— Sama siebie nie mogę znieść, taka starucha, to mi każą jeszcze z kilkoma mieszkać.

A potem poszedłem do pokoju. Mieszkaliśmy we czwórkę. Na moim łóżku siedziała czterdziestoletnia Niemka i udawała przez długi czas, że z powodu choroby kręgow, może tylko ustami, językiem. Potem wszedł do pokoju mężczyzna, któremu Arabowie ucięli wszystko, razem z prąciem, i który z tego powodu śmierdział stale moczem. Dostawał napadów szału i był poetą. I był tam...

— Dość.

Wydała mi się zakłopotana. Ale nie dałem za wygraną.

— I sprzątała tam młoda dziewczyna. Lalka z czekolady.

Wtem zrozumiałem, że za dużo pamiętam. Że popełniłem fatalny błąd. Ale ona rozstrzygnęła:

— Idę po tragarza. Aha, zauważyłam, że pan sepleni i jąka się.

Nie wiedziałem, czy to dobrze, czy źle. Zaczerwieniłem się i powiedziałem:

— Ttttak, nie, proszę pani.

— Czy chodzi pan po schodach?

— Nnnnie, proszę... to znaczy od czasu mojego wypadku z tym, tak, nie.

Rozważała jeszcze jakieś „za” i „przeciw”. Oglądnęła mnie jeszcze raz, w całości i powiedziała:

— Kupuję. Idę po sabala, tragarza, to znaczy.

Zaczepiła przechodnia aby tragarzowi, którzy nie umiał po niemiecku i był z Jemenu, przetłumaczył coś w tym

sensie: — Zawieź go na ulicę Chapu-Chapu 8 do pani Cin. Tam ci zapłacę.

I poszła sobie.

Sabal pomógł mi przejść na swój wózek, dwukołowy. Potem przeniósł odzież. Tablicy nie przeniósł. Wyjechaliśmy na ulicę Allenby.

6.

Nie zwracano na nas uwagi. W tym czasie były takie przeprowadzki częste. Pchał dzielnie swój wózek, wysuwając język, jak piszące dzieci. I kiwał swoją koźlą brodą. Trudno było utrzymać równowagę. Więc tylko wierzchołki domów. Położyłem się, nie widziałem więcej ulic. Wyczuwałem miejsca cieniste. Poza tym niebo, na które trudno było patrzeć.

Koło kina Mugarbi zatrzymał wózek. Cięż jeszcze wilgotny. Usiadłem. Oglądałem ludzi, zwłaszcza dziewczęta. Ogółem nieładne, o nisko zwisających tyłkach.

Do Palestyny przyjeżdżały przed wojną idealistki. Idealizm nie sprzyja urodzie i długim nogom. Położyłem się przygnębiony na wózku. Miałem się przekonać później, że jest parę ładnych dziewcząt w tym mieście. Żarzą się wieczorami w ciemnych domach.

7.

Sabal ruszył nagle. Jechaliśmy, nie spiesząc się, przez ulicę Ben-Yehuda, a ja myślałem o dziwnym wrażeniu, które towarzyszyło mi przez cały czas w domu starców. Czy tyczy to tylko tego domu? Czy nie widzę czegoś u przechodniów, na ulicy, tu także? Nawet u najładniejszych dziewcząt, jakie spotkałem dotychczas.

Chodzi mianowicie o dłubanie w nosie. Każdy wszędzie dłubał w nosie, widocznie czy też psychicznie. I każdy



wyciągał smarki na wierzch, szukał w nich coś długo, szukał, szukał, w końcu zaczął zwijać w kulkę, niby chleb, bawić się nerwowo z niewidocznym, nienaturalnym uśmiechem, roztargnionym. I każdy też ruszał najbardziej intymne miejsca ręką czy też nogą. Naturalnie, nie często fizycznie, ale jakąś trzecią nogą, której zarysy wyraźnie widziałem. Nie mówiąc o tym, jak musieli się interesować tymi miejscami, gdy leżeli sami w łóżkach. „Interesowali się” — to dużo i mało. Nerwowo grzebali tam, myśląc o czymś innym, czytając książkę, rozmawiając, we śnie.

— Taki już naród — myślałem — wybrany przez Boga też tym. Wielka neuroza, jedno wielkie skomplikowanie, które rozgałęzia się jak arteria, i kończy się dłubaniem, oglądaniem. To zaraźliwe, pomyślałem, dłubiąc, grzebiąc, gdzie się dało.

Dłubiąc, skręciliśmy w jedną z przecnic. Zielono. Dużo miejsc niezabudowanych. Jakaś wieża, w której był okrągły pokój. Sklepek z jedzeniem, mydłem, pastą do butów, sznurowadłami.

8.

— O, już tu.

Dużo dzieci. Z rolkami i bez. I dorośli.

Mieszkanie było na parterze. Wszyscy na ulicy. Pani Cin. Przeszedłem. Przy pomocy laski nieboszczyka męża.

Trzy pokojowe mieszkanie. Jeden zajęty przez bezdzietne małżeństwo. Jego nie było widać, ona zdenerwowana. Syn pani Cin, dwudziestoletni chłopiec. Nazywała go „Edka”. Gdy zamknęliśmy wszyscy razem drzwi, poszedłem falującym korytarzem. Parę razy się potknąłem o wystającą kafłę, w końcu salon.

— Jęgo się da do tego małego pokoju — powiedział Edka.

— Nie, nie, przez pamięć ojca. Jeszcze by tam zdechł. Tu mięso się bardzo szybko psuje.

— No to gdzie?

— Ciebie i tak nie ma cały dzień w domu. Będziesz spał ze mną. Tyle mnie kosztowało. Więc on będzie w tym drugim. I tak nas łączy balkon... Ale nie pora o tym jeszcze mówić.

— Rób jak chcesz.

Edka był wysoki blondyn, barczysty.

— Więc on będzie tam. Zwłaszcza, że zadania jakie będą na nim ciążyć... — namaszczony ton. — Zresztą polegaj na mnie.

Przez cały czas oglądałem jej czarne wąsy i wypadającą protezę. Edka obrócił się na pięcie i wyszedł.

— Teraz ja się przebiorę.

I włożyła suknię.

Była to suknia-nie-suknia, zbrudzona sosami, tłuszczem, kurzem osiadłym, potem, i znów tłuszcz i pot. Wyglądała jak uszyta z juchtu, garbowana korą dębową, a przez dziurę wyglądała czarniawa sutka.

— A teraz panu Piotrusiowi zrobimy coś na kolację.

Edka wrócił i zaczął czytać gazetę. Wydawało mi się cały czas, że udaje, że czyta, bo te znaki nic nie znaczą. Ale pani Cin przerwała:

— No to omówimy naszą sprawę. Pan ma wyglądać nieapetycznie. Zresztą wystarczy tak, jak pan wygląda. Rzecz decydująca. Mamy tu współlokatorów. On rzekomy inżynier — niech go szlag trafi, ona ma trypra, którego nabawiła się w wojsku. Ale mniejsza. Chodzi o to, by pan, panie Piotrusiu, blokował klozet. Od rana do wieczora. Jedzenie dam. Zamknę pana, by było pewniej. Rozumie pan. Ja bowiem nie mogę sama siedzieć, ponieważ chodzę na posiedzenia Badaczy Pisma Świętego. Dam panu Mayera, Pierwszy tom. Encyklopedia. Rozumie pan.

— Tttak, proszę pani.

— No, to dobrze, że pan rozumie. Żeby się panu nie nudziło. Mayera, pierwszy tom. Wieczorem będzie pan mógł wyjść. To jedyna droga. Blokowanie klozetu, gdy chce się, aby oni się wyprowadzili. Miałam nieostrożność wynając bez mebli. Mój syn, Edka, jest ślusarzem i wychodzi wcześniej rano.

— Ale proszę... Czy oni nie będą chodzili gdzieś? Czy ja wiem.

— Raczej nie. Nie. Z każdą drobnostką tak latać. Zresztą oni mają nocnik. Szukałam okazji na szuku. Choć pan taką okazją znów nie jest.

9.

Miałem stale wrażenie, może mylne, że oni tam, w tym pokoju z nocnikiem, podsłuchują, siedzą jak szczyry, wachają, ruszając czarnymi nosami, uważnie, cicho.

Nagle radio, w tym ich pokoju. Pani Cin podskoczyła. Zawołała:

— Edka, Eeedka! Gdzie dzwonek?

Edka poruszył się ciężko, zmęczony. Powiedział:

— Coooo?

— Oni grają, grają, grają.

— Niech grają.

— Edka, włącz dzwonek. Kontakt. Włącz.

— To mi będzie przeszkadzał.

— Właaaaacz — syknęła pani Cin.

Westchnął i wstał.

— Gdzie dzwonek?

— Przecież ty sam...!

— Skąd?

— Jakie znowu „skąd”.

— Ty sam. Włącz dzwonek.

— Przecież szukam.

Znalazł. Włączył do kontaktu elektryczny mechanizm dzwonekowy, bez dzwonka. To powodowało t a m , u nich, w pokoju z nocnikiem niezwykle trzaski.

— Mają muzykę — uspokoiła się. Wyłączyli radio.

— To takie proste — powiedziała pani Cin nad terkotem — takie proste — powiedziała pani Cin nad terkotem — takie proste, włącza się tu, trzaska tam.

— To tyrczenie przeszkadza. Chcę czytać gazetę.

— Niech mają, niech mają. A nafty do jedzenia, jak mi się uda — powiedziała.

— Wyłącz dzwonek.

— Nie. Nie wyłączę.

— Ale ja mam dość. Chcę czytać gazetę.

— Zapominasz, że śmierdzą ci nogi. Jak kozioł śmierdzisz.

— Jak nie wyłączysz tego dzwonka...

— To co?

— To zbiję talerz.

— Spróbuj.

Brzęk. Talerz poszedł na podłogę.

— Edka, co ty robisz? Uspokój się.

— Właśnie, że nie. Ty stara.

— Uspokój się — krzyczała nad turkotem — bo jak nie...

— Właśnie, że nie. Ona tylko to rozumie. Rozbijając jej.

— Właśnie, że nie.

— Odsuń się, oodsuń.

Pani Cin zasłania jakiś kryształ. Ale Edka tam idzie, twarz mu się zmienia. Mocują się.

— Eedka.

— Ona tylko to rozumie, tylko.

Krzyczą oboje. Już wiem. Przychodzi się na to z trzech ulic. Okna otwarte. Dorośli i dzieci siadają na murkach. Wygodnie. Kobietom puchną pochwy. Ona wpada w szal.

— Odsuń się, odsuń.

— Właśnie nie. Właśnie.

— Ty cuchnąca...

— Policja, policja. On dusi.

Charczenie. Brzęk szkła. Ona wpada na mnie. Histerycznie.

— Ratuj przyjacielu, mój złoty.

Edka zdyszany:

— Jak nie przestaniesz krzyczeć... Milcz. Milcz!

Twarz robi się niebieska.

To się widać powtarza.

Mrowi się ulica. Nawet oni zerkają. Ci z nocnikiem. Nawet podnoszą dzieci, aby lepiej widziały. On zrywa się nagle, wybiega z domu. Rozchodzą się pomału. Tylko dzieci zostają. Słyszą chrobot hulajnogi.

Ona:

— ...więc od jutra. Pan zaczyna, myślę.

— Tak, proszę pani.

— On jest do-bry chłopak, ten Edka. Tylko nieco gwałtowny. Jak czasem rąbnie naszego inżyniera w pysk, to aż miło patrzeć. Tak bez powodu. Zresztą łagodny jak dziecko. Ale ja muszę wciąż uważać. Aby nie był za łagodny. Wtedy by ci, stamtąd, mieli używanie. A tak to ich trzyma za pysk. To zresztą z temperamentu. No, ja idę spać, a rano na plażę. I potem na posiedzenie Badaczy Pisma Świętego.

— Dobranoc pani.

— A jutro, no, no.

I poszła. Przedtem wskazała mi kanapę, na której miałem spać.

10.

Fioletowa noc. Na peryferiach szakale. Ich żaloszny śmiech. Kwitną przerażająco kwiaty pomarańczy. Zapach wychodzi o zmierzchu na ulicę, jak głodny wilk, i krąży niby krew tętnicami. Koty kwilą i wrzeszczą. Załatwiają tu swoje marcowe sprawy o wszystkich porach roku. Uginają blaszany dach na fabryczce, tuż obok. Pieją koguty. Nie wiem, jak Jezus mógł sobie z nimi poradzić. „Trzeci kur” jest całkowicie dowolnym pojęciem. Pieją całą noc. Z daleka i z bliska.

Poza tym — kurwy. Na podwórzu, na stojąco. Czasem, na żądanie, kładą się. Potem otrzepują się z igliwia i liści.

Tej nocy są dwie. Jedna z nich jest głucha, młoda. Druga, widząc moją twarz w ciemnym oknie, zbliża się i odchodzi. Spokój aż do dwunastej.

Po dwunastej wybucha spór. Kurwiarz szybko zapina się i odchodzi. Zostają tylko one dwie. Ta nie głucha, druga, przeżywa tę pierwszą głuchą. Życzy jej, aby siedem tysięcy nieboszczyków miało z nią stosunek. I to nie zwykły. A jak znajdzie się przypadkiem jakiś żywy, to jak tylko wprowadzi swój szanowny członek tu i tam, pod pachę lub w tył — ma natychmiast zwiędnąć, zmięknąć, przepadnąć, zginąć. W końcu dodaje:

— Tfu, taka kurwa, żeby przynajmniej rozumiała.

I odchodzi.

Ta pierwsza krztusi się i wyje, mówi „aba, aba, bababa, bababa” i znów dochodzi do wycia. W końcu uspakaja się. Podchodzi do okna, robiąc znaczące ruchy pięścią, palcami. Ale ja z żalem kiwam przecząco głową, że nie mogę, że ani ani, że w końcu tam, tak blisko, moja pani. Wśród śpiewu kogutów usypiam.

II.

Następnego dnia budzi mnie dziki łomot. Podkute buty o kafle.

— Już szósta. Przygotowałam panu jedzenie. Ale zje pan tam.

W ten sposób rozpoczęły się bardzo dziwne dni w moim życiu. Mój żywot wychodkowy, ograniczony jak w celi. Klozet był mały. Kiedyś pomalowany na zielono. Z śladami palców na ścianie. Z braku toaletowego. I w ogóle żadnego. Siedzę. Bolą plecy. Wstaję. Przeciągam się. Siadam. Encyklopedia Mayera. Nawet jej nie ruszyłem. Codziennie o 5.30 idę jeszcze senny, nieprzytomny do klozetu. Tu przecieram oczy. Słońce dopieka. Już rano. A w południe muszę się zasłaniać muszlą. Ponieważ nie mogę całego ciała zasłonić, muszę to robić na raty. I tak albo tyłek się opala, albo nogi, albo piersi i profil, albo plecy. Nauczyłem się wielu

akrobatycznych pozycji. Nauczyłem się, jak wąż, zwijać u podnóża sedesu. Poczyłem też wiele obserwacji.

Klozet był marki „Niagara” a sedes marki „Lux”. „Ex oriente lux”. Istotnie.

O szóstej już ogólne trzepanie. Z przeciwka wychodzą różowe pierzyny, co wygląda niby wyciśnięte flaki domów.

Nade mną jakaś rodzina z Polski. Mama, tata, sześciolatnia córka. Mówią po polsku. Tylko mała robi dziwaczne błędy. Mówi:

„Ta nauczycielka zrobi z nas człowieka” lub „Ja mówię z tatą, to zawsze mama musi wejść w słowo” lub „Proszę, zrób się na pies” lub „Zadną sobotę spędziłam dziś”.

Po wyjściu małej do szkoły mówi ojciec:

— Co, na miłość boską, wyrosnie z tej małej? Żeby nam dali choć umrzeć po polsku. Ale oni „rak iwrit”, tylko hebrajski. Popatrz, ja pamiętam nawet, jakie w Polsce były śledzie: był ulik, był matias, był pocztowy, był królewski, była szmalcówka, nie mówiąc o wędzonych. Jak jej powiesz „szmalcówka” to co? Dla niej to będzie powietrze, nic, w ogóle. A rolmopsy?

— Może wrócimy — powiedział żeński głos. — Może wyjedziemy do Anglii, Australii, diabli wiedzą. A może się z tobą rozwiodę?

— Nie szalej, proszę, nie szalej. Możesz mieć kochanków oficerów polskich, angielskich, australijskich, Murzynów. Możesz robić anatomię porównawczą członków różnych narodów, to nawet ciekawe. Nie podobna nigdzie znaleźć, ale nie to... nie to.

— Ja do ciebie przyjechałam i widzę, noga wisi na ścianie. Brzydę się tego, brzydę. Może powiesz na ścianie drewnianego. Cooo? Dlaczego nie odpowiadasz?

Po chwili:

— Ja wrócę do Polski, zabiorę dziecko.

— Nie zabierzesz dziecka.

— Pffi, dużo sobie z tego robię. Tam będą śluby cywilne. Bardziej mnie obchodzi, żeby dziecko rozróżniało ja-

łowiec od kaktusa. I żeby znało słowa ozimina, krokiew, żuraw.

— Ty naumyślnie pleciesz „żuraw” i tam dalsze. Ja jestem miastowy. Nie ze wsi, jak ty. Dobrze, drewniana noga, niech sobie będzie, ale jak forsa też będzie? Nie szalej, nie szalej.

I tak dalej. Bez końca. Około pół do ósmej zaczęły się rozmowy sąsiadek przez okna i balkony.

— Mój Hans jeszcze nie miał stolca. Posłałam po lekarza.

— Tak, stękał całą noc.

— Wątroby nie mogłam dziś dostać.

— Pani jest słaba dziś, no rozumiem, skrobanka to nie jest zbyt przyjemne.

— Ta Lili spod trzeciego ma wcale ładnego kochanka. Taka zdzira, jak jej się wszystko udaje.

— Ja wiem, proszę pani, dlaczego jej się udaje. Przy sposobności.

— A, guten Tag, jak pani spała? Bo ja to miałam straszne sny. Że mnie ktoś gdzieś tak gniótl, przygniatał do ściany.

Naturalnie, spuszczenie bez przerwy wody. Już o dziesiątej spuszczenie stor.

Duże karaluchy, czarne błyskawice dnia. Niewiarygodna witalność. Szybkość. Odkryłem gniazdo pod rezerwuarem. Chciałem je zabić, ale nie umiałem. Wprowadzają w trans zabijania. Już z bliska widzisz jak ruszają dużymi wąsami, jak chcesz nastąpić nogą, złapać rękami. Wszystko się w tobie gotuje. Tylko one wąsate, aerodynamiczne, z owłosionymi nogami, i błysk na plecach. Wiedzą co się dzieje. I zawsze jakiś manewr i do dziury. Wysuwają wąsy, triumfująco. Daremne by było wyrwać wąs. A zresztą to je diabeł.

Najdziwniejsze małe, poruszające się wolno kawałki ściany. Jak siedzieć w klozecie i swoje zrobić, to się tego nie zauważy. Dopiero po godzinach, dniach, to zdaje ci się. A jednak nie zdaje. I są. Małe, noszące ścianę na grzbiecie.

Po kilku dniach, czy tygodniach zaczynają mnie obla-
zić wspomnienia, niby wszy. Wspomnienia hotelu-burdelu,
w którym mieszkałem, właśnie blisko, bardzo blisko szuku,
w jednej z przecznic.

Był to stary dom o ciemnych schodach. W lecie cho-
dziło się na dach, aby zaczerpnąć powietrza. Z dachu tego
było widać Jaffę — Piękną.

Splątane ulice, uliczki, które lubiłem, dla samego
włóczenia się, dla oczu, dla skomplikowanych przejść, dla
domów połączonych łukami, o podwórzach, gdzie nagle
ukazywała się miękkość, pastelowe kafle, czasem sadzawka
z złotymi rybkami. To nie było miasto gotowe, nowe.
Lecz miasto-drzewo, które po mału rośnie lub karłowacieje,
z tysiącnymi przybudówkami, a na nich znów przybu-
dówki, lub przybudówka i w niej pokoik wielkości klozetu.
Miasto, w którym czuło się korzenie i można było zejść
aż do korzeni.

Na samym dole była Jaffa wewnętrzna, starożytna.
Schody ze złoceniami, poręczą z arabesek, czym dalej tym
lżejsze, półschodki, mosty napowietrzne, kładki, a na dole
piwnice, czarne dziury, gdzie pracowali złotnicy, snycerze,
bakaliarze, sprzedawcy kawy, korzeni. A całkiem już na
płasko siedzieli żebracy, przyklepieni do ścian.

Jak się znało sekret obyczaju, to można było zoba-
czyć dziwy, małe dywany tkane srebrem, nieoczekiwane
mozaiki, zapachy dziwne, opium, haszysz, który miał pięć
stopni ekstazy jak i pięć stopni luksusu: najwyższy był w
wannie, wykładanej zielonymi kaflami, z niewolnicą.

Ale nie o Jaffie chciałem tu pisać. Słońce piekło coraz
to mocniej i wilem się u stóp sedesu marki „Lux”, a ich
dwoje, z podnajętego pokoju, pukało, waliło rozpaczliwie.

Próbowali mnie zachęcić do wyjścia, obiecując kanapę i złote góry. We wszystkich językach mówili poprzez siebie, wychodzili, wchodzili, kłócili się ze sobą, trzaskali drzwiami, i znów klękali koło okutych drzwi klozetu, zaklinali na wszystkie świętości, nawet buddyjskie, abym wyszedł lub, choćby którekolwiek wpuścił, a jak nie pomagały słowa, to znów, bez przestanku walili młotkiem. Ale ja, choćbym i chciał wyjść, byłem zamknięty na dwa zamki „Yale”, a drzwi były jak od kasy pancерnej.

W końcu wracała mieszkająca nade mną dziewczynka. Wracała zazwyczaj z dzikim wrzaskiem „Kusemak”. (Arabskie wyzwisko, nieprzyzwoite).

— Co to znaczy? — pytał głos kobiecy.

Wtedy dziewczynka zaśmiewała się i mówiła wśród śmiechu „już nie mogę... tak... tak boli brzuch”, krztusiła się, na klatkę schodową i zjeżdżała po poręczy w dół.

Odróżniałem kroki prawie wszystkich lokatorów: Lekkie, ciężkie, z charakterystycznymi zgrzytnięciami, potknięciami, sprężyste kroki dziewcząt, po dwa stopnie, cięższe chłopców, cichy syk towarzyszący zjeżdżaniu po poręczy. Wiedziałem nie tylko kto w naszym domu kuleje, ale kto ma ciasne buty, jak czuje się dziś itd. Niewiarygodnie dużo da się wiedzieć po każdym odgłosie ludzkim.

14.

Przychodziła do domu pani Cin ze swoich długotrwałych i wyczerpujących, wycieńczających posiedzeń. Odmykała mnie. Ona to umiała omówić osoby mistrzowsko. I zwięźle.

Patrzyłem w kąat na warstwę kurzu grubości puszystego dywanu. I na stole kurz jak barchan. I domowa suknia, z wystającą sutką raz po raz niknącą w dziurze. Patrzyłem w nią zahypnotyzowany. Pod oknem pajęczyny i znów poruszająca się sutka przy mówieniu.

Przechodzi powoli przez podwórze mały, czarny kot. Zachodzące słońce, uwięzione w flakonie. Morze. Opuszczają się białe żagle.

15.

Życie osiada na twarzy jak pył. Ludzie odpadli ode mnie. Tynk. Liście jesienią. Oplątany jestem snem, dzikim winem.

Opadają wyrazy szeptane w mroku. Ona z tym tak, potem owak, i jeszcze inaczej, wykręca się, czeka tego, owego i potem on nagle.

— A naprzeciwno lekarz, widzi pan wywieszkę, tak, to to.

Jestem sam. „Ktokolwiek osiągnął świadomość współczesności, jest i tym samym — sam. Współczesny człowiek wszystkich czasów, który sięga po dalszy i wyższy stopień świadomości, oddala się od pierwotnego, czysto animalnego „participation mystique”... — mówi Jung.

A Heidegger: „Strach jest tu. On tylko śpi. Jego oddech drga stale przez to, co istnieje”.

Idźmy dalej. Wszystko jest prowizoryczne. Szyld czasu TYMCZASEM. Jestem nieobecny tam, gdzie chciałbym być najbardziej. Epoka wiruje jak bąk, w jakimś dziwnym nie na-serio. Jakaś niepewność czy się jest. Stale. Naprawdę. Czy się wyrzyło gdziekolwiek znak? Świat dygocze jak w malarii. Opalowy zachód słońca.

Może istniejemy na zboczach życia. Jak upiory. Niezupelnie. Manekiny. W przebraniu przebrane. Wszystko dzieje się naumyślnie. Żółte mgły stojące nad bagniskami. Oczy przysypane piaskiem, popiołem. Zmarli odpływają nieustannie na grzbietach fal.

Opowiada o mężczyźnie, który mógł tylko, gdy mu groziła utrata życia. Dwa razy w tygodniu przychodziła do niego Ona. Rozbierała się. Potem dusiła go krawatem. Gdy już był siny, wreszcie mógł.

Domy nieruchome — śpiące zwierzęta. Palmy. Palmy. Ciemno. Krążę nad krajobrazami do powtórzenia, nad wspomnieniami, które nie wiadomo, czy były.

Chodziłem po bulwarach, nad morzem, gdzie są jaskrawe kawiarnie. Czasem schodziłem na plażę, gdzie odcinały się tylko białe fale, szybko, szybko biegnące, aby się zatracić. Szedłem wśród ludzi, ale zawsze wyskakiwałem niby korek, nie mogłem w nich wejść. Czasem też idę na plażę w momencie wrzenia: żylaki, czasem jakiś młody fragment, na pograniczu rzeczywistości. Potem znów flaki.

Coraz mniej jest rzeczy wartych spisania. Jestem zmęczony i chcę się zamknąć. Wcale nie umrzeć, ale uschnąć w książce. Samotność krzyczy nade mną jak dziki ptak, jak burza. Już dość. Wyję jak tresowany pies sąsiadów: cicho.

Słowa pisane są jak futerko białej myszki, jak kołysząca się mgła. Jest w nich siła nieoczekiwana, znaczenie oparu, który może przybrać kształt niezwykły, ciepło śpiącego zwierzęcia. Wielka magia lub nic. NIC. Między zamiarem, zdaniem, słowami przeczytanymi później, w innej chwili, daleko, czytelnikiem w obcym kraju, jest niewiadoma reakcja, jest ciągłe wahanie. Słowa są jak ranne ptaki przelatujące morze.

Nietoperze, powleczone białym światłem, ocierając się, zostawiają ślady dotkniętych ciem. W górze, drzewa łączą się z chmurami i odpływają, jak one.

Język, którym myślę rozpada się i kruszy. Jest niby mamrotanie starych kobiet, co moczą biszkopty w mleku. Gwałtowna atrofia: kurczę się, zostaje ze mnie tylko fasada, która mówi, śmieje się. I na wydmach piasku czesze wiatr suche krzewy.

I kapią, jak w klepsydrze, słowa pani Cin. Opowiada mi o mężczyźnie:

— Ciało kobiety nie mówi mi dużo. Tyłek, części płciowe, to gotowe, papierowe, nieżywe. Pod skórą. Tam to zapala się. Kał nie jest martwy. On jest początkiem wszystkiego. Jest ciepły i miękki. Z niego można jeszcze, jeszcze wszystko zrobić.

Są całe okresy, kiedy leży się na dnie. Wtedy ulgę sprawia słuchanie tykania zegarka, wążania wody kolońskiej, lizanie i całowanie poręczy krzesel, mówienie obcym głosem: — Piotruś, nie martw się tak bardzo.

Zawsze dziwiłem się ludziom siedzącym przed bramami domów. Dziś wiem, że chcą widzieć życie przebiegające. Jeden staruszek mówił do mnie z pogardą:

— Przed moimi oknami dużo więcej ludzi przechodzi, niż tu.

16.

Już nie ma pani Cin. Noc się robi coraz głębsza, coraz to bardziej bezdena. Wydłuża się jak granatowy kwiat, w którym są ukryte żółto-jaskrawe pręciki. Noc jest jak studnia, w której przeglądam się, z wszystkimi awanturami, krzykami.

Wchodzi Edka. Nosi skarpetki, aby nie robić hałasu. Nie zauważyłem tego dotychczas.

Naprzeciwko mieszka sto dwadzieścia żołnierek. Podpatrujemy je. Edka dziś będzie podpatrywał tu. Zazwyczaj chodzi na dach, bo stamtąd lepiej widać.

Stoję oniemiały i nieprzytomny. Tak silny płynie tam prąd kobiecości.

To co jest pierwotnie kobiecego nie wypływa w obecności mężczyzn. Przygotowania, które wykonują kobiety same. Lunatyczne spacery tam i z powrotem. Przenoszenie majtek z miejsca na miejsce. Kontemplacja pończoch w poszukiwaniu oczek. Kontemplacja lustra, która przechodzi w nirwanę. Hipnoza tej z lustra. Przybliżają się do lustra, oddalają. Ich ruchy powolne, prawie obrzędowe. Czesanie brwi, czesanie rzęs. Mały ruch w kierunku włosów. I znów bezwład. Gdy któraś coś powie, roztargnione: „Tak, tak” lub „nie, nie”. Jakby miały zemdleć. Powoli z namiętności nakładają majtki, najnowsze. Przeznaczone. Przypomierają staniki. Zmieniają je nerwowo. Nie ten. Ten.

Patrzą, jak wyglądają z tyłu, jak z przodu. Różne różnie kręcą tyłkami. Ćwiczą się. Jak będą w tańcu wyglądać. Próbują najromantsze pozy wieczoru. Są zachwycone, rozczarowane, złe. Muszą bardzo uważać, jak będą wyglądały wtedy ich piersi, nogi, zęby, brzuch. Niektóre grają całe sceny przywitań, pożegnań, patrzenia spod rzęs, widzenia w szybie, nie oglądając się, chodzenia niby nic.

Potem półubrane stoją długo przed lustrem i robią tego wieczoru twarz. Oblizywanie się szminką. Odginanie rzęs. Niektóre atropinę. Poprawiają to, co, zdaje się, nie da się poprawić. Wyrrywają sobie imaginowane włosy z brody. Tak jak fryzjer robi zbyteczne ruchy w około głowy klienta. Jeszcze czesanie brwi, niektóre czernią. Mają coś z chirurga przed operacją, kapłana przed złożeniem ofiary. Koncentracja lunatycznej uwagi dochodzi do szczytu. Rozmieszczają zapach perfum. Nagle zaczynają się spieszyć. Zauważają, która godzina.

17.

Kobiety są bardziej jakby naprawdę. Są orkanem realności, który niszczy wszystko, co nie jest biologią. Kobieta jest bardziej człowiekiem. Mężczyźni stanowią uboczny, jakby przypadkowy twór. Nie byli w planie. Zawładnęli nim. Człowiek to właściwie — kobieta. Mężczyźni krążą wokół niej wybierając najdziwaczniejsze funkcje: logistyka, alfonsi, pieniądze, dalekobieżne łodzie podwodne, metafizyka, fizyka teoretyczna — i nigdy i nigdzie nie znajdują zadowolenia. Kobiety wprost przeciwnie. Na plaży. Zadowolenie mężczyzn nie znajduje się w planie ziemi. Stanowią oni przedłużony, wyrośnięty typ, przeznaczony na wymarcie. Przerośnięty. Chorobliwy. Zadowolenie kobiet — oooo! Nieopisane, tiulowe, firankowe, srebrzące się na niebiesko figi nylonowe.

Ale druga strona medalu — są i wyjątki. Kobieta zasługuje, by jej chwilowo zawierzyć, jedynie jako prostytutce i nic więcej. NIC. Kreska. Wiem co mówię.

O, prostytutki. Wraz z mrokiem opadają na miasto i na nasze podwórze. Tamte dwie, i trzecia, młodziutka, której wyrwano kolczyki wraz z częścią ucha. (To było dawno, gdy miała dziesięć lat). Pracują w podwórzu, a na ulicy czekają mężczyźni, w milczeniu. Skupieni, nietowarzyscy. Wpatrują się uważnie w jedno miejsce, w wejście do podwórka, uważnie, nie spuszczać wzroku. Wyglądają jak psy. A może wilki. Krążą niespokojni, podchodzą, cofają się. Tu jest mało kobiet.

Chmury pasą się na ciemnym niebie. Ćma-olbrzym. Jakieś ptaki ocierają się. Koty chodzą bezszelestnie, jak sarny. Podobnie ruszają głową. Ogon koci faluje jak morze. Niezależnie od kota. Ptaki nocne — białe.

18.

Edka wlecze mnie do klozetu. Nieprzytomny. Na górze awantura. On bije ją protezą. Potem gwałtowne spuszczenie stor. Edka mówi, wychodząc:

— Dziś straszny chamsin.

Wiatr od pustyni, gorący. Nad morzem nieco łagodnieje.

Różne ciepłe wiatry: mistral, foen, sirocco, halny. Tu chamsin. Nie do zniesienia, już od rana: chiński, nieruchomy. Ze stali. Morze, jak misa rtęci, stojące pionowo. Na nim położone, bez wypukłości, statek i żagiel. Spełży dzień. Nie odróżnia się nieba od zatoki, która jest jak szary talerz. Pół-nagie drzewa. Piasek w ustach.

Leżę nieruchomy. Zrozumiałem „wschodnią medytację”. Przyjeżdża się z planami. Każda godzina jest droga. I tu dzieje się rzecz nieoczekiwana. Czas rozkłada się. Po mału, po mału wsiąka się w to wszystko. Ostrze tępieje. Dewastacja umysłu przez światło. Półrocze i lata. Porusza się jak w bagnie. Opada się. Arabieje.

Przedmioty dotykają na odległość. Barwy. Skaczą ze wszystkich stron. Mam trudności z oddychaniem. Rzeczy

składają się z błysku. Już o dziesiątej miasto wymarłe. Nie obchodzi mnie nic, z wyjątkiem kierunku oddechu. Wilgoć. Spuszczam raz po raz wodę. Najmniejszy chłód przynosi ulgę. Encyklopedia wygina się. Masło stopniało dawno, a mój chleb jest twardy jak skorupa.

19.

Słyszę na schodach obce kroki. Lekkie. Kroki przekraczają wejściowe drzwi. Teraz otwierają jeden yale. Drugi. Drzwi. Przede mną jest dziewczynka piętnastoletnia. Może ma szesnaście. Mówi, spoglądając na mnie z obrzydzeniem:

— Ciocia prosiła, aby pana dziś wypuścić.

Patrzy na mnie, jak na glistę, karakona. Jestem osołomiony przejściem przez korytarz.

— Ciocia bała się, żeby pan nie zdechł.

Jest bardzo brzydka, ładnie zbudowana. Kirgiskie oczy. Murzyńskie wargi. Nos placek. Idzie ze mną do pokoju. Patrzy na mnie z wyżyn swojej młodości. Wargi mam spalone. Ona nie. Wchodzimy do pokoju. Patrzy na mnie jak na tarantulę. Ale bez strachu, z ciekawością. Znaczki, które znajduję w korytarzu, są zwinięte w kłębek. Nawet rodzinne pocztówki pani Cin. Ona ma białe gładkie włosy.

— Czy chce pan mi pozować? Ja maluję obrazy pół-abstrakcyjne, ale potrzebuję zawsze bodźca.

— Pani maluje?

— Tak, i będę niedługo w Paryżu. Przygotowuję się wielostronnie.

Dopiero teraz zauważam, że jest poplamiona farbami: nogi, sukienka, twarz.

— Potrzebuję bodźca, a pan jest bodźcem.

— Ale co ja zrobię z klozetem?

Z jej strony cichy śmiech. Wygięcie warg.

W tej chwili słyszę jak ci z nocnikiem uszczęśliwieni pluskają się w muszli.

— Ale pani Cin kupiła mnie na szuku, zresztą nie umiem chodzić.

— Ja mieszkam w machlulu, to są te drewniane domki na stoku morza. Barak Nr 38. Przyjdzie pan?

— Ale ja nie mogę. Pani ciocia...

— Już znam tę piosenkę. Gdy przyjdiesz dostaniesz jabłko. I będziesz widział, jak maluję. Wystarczy.

Głos pytający zza drzwi:

— W którym kierunku pani idzie?

— W przeciwnym niż pani.

Ja:

— Jak się pani, ty, nazywasz?

— Batia. Batia wariatka, lub Batia malarka, to wystarczy.

— Ja się boję...

— To się bój.

Wyszła. Kroki. Bardzo lekkie.

20.

Ten dzień spędziłem w pokoju, oddychając jak ryba. Biblioteka skakała po pokoju. Kredens raz to się zbliżał niebezpiecznie, to się oddalał. Stękał przy tym. Drzwi otworzyły się i ukazał się kostium kąpielowy, brudne majtki, książka kucharska, wazonik z ziemią i inne rzeczy. Włożyłem ciemne okulary, ze złamanym szkiełkiem. Oczy zsiwiały od blasku. Napięcie. Słońce zasłonięte chmurą piaskową. Mimo to wdziera się, razi. Oddycha się tylko szlamem. Wilgoci klozetowej.

Już dość mam tych klimatów sub- i tropikalnych. Ludzie o białej krwi, ludzie zmęczeni, wyczerpani, którzy chcą przeżyć dzień, tylko dotrzeć. I na człowieka dość jest pięćdziesięciu stopni mrozu i pięćdziesięciu stopni ciepła. Całkowicie.

Dwa dni później chodziłem punktualnie do ubikacji. Chamsin zelżał. Ale gnębiła mnie myśl, jak się z tego

wydostać i jak pójść do Batii. Nocami myślałem przy krzykach prostytuttek. Nic z tego nie wyszło.

Miałem dziwny okres. Myślałem o czymś i uważałem, że to zrobiłem. Wyobrażenie zastępowało fakt. Stąd kłótnie z panią Cin. Przysięgałem, ale okazywało się, że moja przysięga jest fałszywa. Tak intensywnie myślałem.

Burza, bodaj ostatnia. Niebo jeszcze pobłyskujące. Szara chmura tkana błyskawicami, niby srebrną nitką.

Obudziłem się. A to mi się śniło, że się obudziłem. Tym samym sen wsuwa się, jak w futerał, w sen, i ja ciągle nie mogę się wychylić. I znów budziłem się, a to tylko śniło się, że się budzę. Więc tak jak w dwóch lustrach, śniło się i spałem. Aż krzepkie ramię Edki porywało mnie do klozetu.

W krzykach kurw, w przesadnym wyobrażeniu, w budzeniu się na niby. Postępująca stale tymczasowość.

Lecz chciałem pójść do Batii, co również było może fantazją. W każdym razie chciałem spróbować. Nie wiedziałem, co to machlul, ale wiedziałem, że to obok.

Było po burzy, która w Polsce następuje w powietrzu dusznym, tu zaś po gwałtownym ochłodzeniu. Toteż przeziębilem się. Miałem katar, i nie mogłem myśleć. Już wiem dlaczego starożytni uważali katar za funkcję mózgu.

Więc po tygodniu zacząłem myśleć o Batii. Nawet śniłem o niej. Przyjemnie. Sen przyklejał się do powiek, kawałków klozetu i ulic. Zaczadzony we śnie. Gdy mnie Edka włókł do klozetu, mówiłem imię Batii. Aż w końcu Edka, ten blond olbrzym, ulitował się.

— Wezmę cię, wezmę do tej Batii-wariatki. Ją każdy może mieć. Ona nie przywiązuje do tego większej wagi. Wezmę cię do niej i nakażę. Ja ją znam od dziecka. Myśmy razem przyjechali z Niemiec. Razem uczyliśmy się gasić pożar wywołany bombami. Uczyliśmy się tego w szkole. Każdy to musiał umieć. Ale cię uprzedzam, synku. Jej ojciec jest, no, wariatem. Mieszka w łazience. Píše szirim, pieśni. Tak jak prorocy. W różnych językach. Po niemiecku, hebrajsku i jeszcze nie wiem po jakimu. A najgorsze to jego poza. Długie włosy, gada do siebie, jest bardzo

z siebie zadowolony, ona nie ma matki. Została stuknięta po nim. No dobrze. Dziś wieczór pójdziemy. Ona była w kibucu, ale potem uciekła. No. To ci wszystko powiedziałem.

Gdy odrobiłem swoje pensum, wziął mnie Edka pod ramię i poszliśmy. Pani Cin protestowała, ale Edka ją uspokoił, że niby stara kurwa itd. A pani Cin kończyła jakąś rozmowę: „...i ona była w ciąży i całkiem jej dziecko wyszło, podczas ostatniego chamsinu”. On prowadził mnie za rękę a raczej ja opierałem się na nim.

21.

Poza. Nie taka literacka, ani artystyczna. Lecz fascynował mnie człowiek, który gra. Strasznie trudno dojść do prawdziwych źródeł życia, o ile w ogóle istnieją. Do człowieka, co już nie udaje. Trzeba przewrotności i inteligencji. Aby przedrzeć się przez ten cały splątany kłęb ról, którym się człowiek okrywa. Poczwarka. Nawet w chwili konania nie obnaży się całkiem. W pierwszym rzędzie przed sobą. Tysiące póz, tysiące ról, jedna nałożona na drugą, ząbwiąjące się, sprzeczne. Wiem, jak trudno wyrzec się swojej roli, choćby nawet prowadziła do śmierci. Kokietuje się śmiercią do ostatniej chwili. I, w gruncie rzeczy, nie wierzy się w nią. Jakże trudno wyzbyć się swojej roli.

Trudniej niż życia. Gdy pozbywamy się jednej, wpadamy automatycznie w drugą, równie nieprawdziwą jak pierwsza. I tak, szukając tego co istotne, jeżeli chcemy szukać, a mało kto ma ochotę, przewracamy się we wszystkich swoich stu tysiącach póz, aby wreszcie pod jedną odkryć pulsujące życie. Lecz zamiast życia, ku naszemu zdziwieniu, znajdujemy doskonale pulsującą rolę, na której siadamy okrakiem.

A gdy po wielu koziołkach ociera się o coś trochę prawdziwego, gdy widzi się, że nie ma się czego grać, że w ogóle ta możliwość zostaje odjęta, jest się przerażonym — sztywnieje. I wtedy fabrykuje się „śmierć” ze strachu,

przy której da się kręcić tyłkiem, wyczyniać przecież różne wygibasy. I znów się gra, choćby ta śmierć była prawdziwa, najprawdziwsza ze wszystkich śmierci, do ostatniego tchu. Bowiem dno jest straszliwsze od śmierci. Prawda istnienia jest nie do wytrzymania, cokolwiek o tym by się nie mówiło.

To nie tyczyło ojca Batii, który był zwykłym poze-rem. Ale przerażającego niepokoju, życia na niby, tymczasowości, które tworzą magiczne koło. Ludzie, którzy się otarli przypadkiem o dno, szukają panicznie, na złamanie karku, czegoś na umyślnie.

22.

Słońce zachodzi, widzę spływające domki, spływające po piaskowcu, na którym rośnie tylko pewien gatunek kaktusa. Kwitnie bardzo rzadko, przez jedną noc. Wygląda wtedy jak duża ćma, o niesłychanych motywach.

Domki są zbudowane z drzewa, łątane najrozmaiciej, poprzerzynane ścieżkami, z wspólnymi klozetami, z kwiatami na werandzie. Słońce plusnęło do wody, duże, czerwone, woda rozprysnęła się.

Zeszliśmy po schodach, na których musiałem bardzo uważać, aby się nie przewrócić lub aby się przewrócić właściwie.

Prosiłem Edkę, by zaprowadził mnie na plażę, gdzie małe fale lizały stopy. Było stąd widać Jaffę-Piękną i widok był niepokojący. Poprzez zatokę, w oddali, w pobliżu, stała we mgle, którą tylko przebijał minaret. Mgła była różowa, delikatna.

Potem, opierając się o ramię Edki, poszliśmy, odpoczywając na każdym stopniu, w górę, aż odszukaliśmy barak trzydzieści osiem.

— Tu ją masz — powiedział Edka.

Weszliśmy do pokoju, który wydawał się znajomy. Ona nawet nie odwróciła głowy, gdy przywitaliśmy się.

Było tu dużo płócien, kartonów, desek, szmat. Nie używa palety. Języka, gałganów, prosto z tuby. Dwie reprodukcyjki, na miejscu których spotyka się zwykle obrazy świętych.

Klee. Jedna: Miasto zrobione z koronki, na tle nieba głębokiego. Na mieście dziecinne chorągiewki i księżyc za pół grosza. Druga: Pod wodą jakieś ptaki, o nasz rajubaju utracony.

— Przeprowadziłeś go nareszcie? Zostaw go i idź.

Mówi spokojnie, nieobecnie.

— Ty, nie wymądrzaj się — mówi Edka. — Kiedy mam przyjść po niego?

— Już idź, proszę, ja go sama.

Edka odchodzi. Zostają z nią sam. Ona odwrócona tyłem nachyla się nad dużym arkuszem i maluje jakieś małe miejsce intensywnie żółto. Gdy skończyła malowanie dużego arkusza w małym miejscu żółto, poszła sobie przepłukać usta. Gdy przepłukuje usta słyszę jakieś jęki z małego pokoiku, który był na pół łazienką. Tam siedział w natchnieniu jej ojciec, który wybrał ten fach: szirim. Gęste, teraz siwe włosy. Więc on jęczał i mówił do siebie, jeszcze jeden prorok, jak mówi France, i pisał dużymi literami na dużych arkuszach papieru. I słyszałem to później, gdy czytał mojemu fryzjerowi, co wcale nie jest ujmą. Na razie pisał i płakał jak kotka.

Batia weszła do pokoju i popatrzyła na mnie. To było dziwne, bezosobowe spojrzenie. Uśmiechała się przy tym i miała ładne zęby. Ale nie uśmiechała się do mnie; był to uśmiech bezosobisty. Z tym spojrzeniem mógł ją mieć istotnie każdy, kto tego chciał. Patrzyła na mnie jak na przedmiot martwy.

— Co malowałaś teraz?

— Tel-Aviv.

Poszedłem do ciemniejszego stołu i zobaczyłem wielką zatokę, idealnie niebieską, żółty grunt, a na nim ciemnożółte domy. Kolor niebieski morza i żółty, który przypominał ciepło greckich kolumn. Powiedziałem. Zainteresowało ją nagle. Zaczęła mnie szczegółowo wypytywać

o greckie kolumny, budowle. W końcu zamilkła, przesu-
wając językiem po wargach. Myślała zapewne o morzu
Jońskim lub o kolorze cielesno-żółtym.

Wtem jej ojciec wybiegł z łazienki ze swoją już dru-
kowaną broszurą.

— Czyta pan po hebrajsku?

Gdy odpowiedziałem przecząco, powiedział:

— Aha.

— Jego kupiła ciocia Cin więc...

On pokiwał ze zrozumieniem głową, choć byłem pe-
wien, że nic nie rozumie.

— Aha, aha — zamruczał i poszedł.

Mewy spały na falach. Morze było leniwe i ospałe.
Przeciągało się jak kot. W nocy zaczęło świecić przy naj-
mniejszym ruchu rufy: robaczki świętojańskie morza.

Jej oczu nie widziałem więcej, były przedtem koloru
morza i wraz z nim zmieniające się. Teraz widziałem tylko
zarys jej sylwetki. Stała w ciemności nieruchomo. Miała
na sobie greckie, płaskie pantofle, gładką spódnicę i bluz-
kę przerzuconą na wierzch tutejszym obyczajem. Miała też
włosy proste, blond, do ramion. I miała piętnaście, może
szesnaście lat.

— Ja mam wrażliwe piersi — powiedziała.

Po mału położyła się na tapczanie i ja położyłem się też.
Nie wiedziałem jak rozpiąć jej stanik. Zaśmiała się z
zamkniętymi oczami i pokazała mi dwa małe guziki z boku.
Miała sutki duże, ciemne, z różowymi wierzchołkami,
otoczone jak pierścieniami, warstwą błyszczącą. Sutki za-
reagowały, jak tylko dotknąłem. I nie pozwoliła szybko.
Wolno, tak jak morze dziś, na którym spały mewy, wcho-
dziła na stopnie pożądania, z opadnięciami głębokimi.
Mruczała niby kot przeciągle: Chrrrrr — dając tonacją
swego głosu, niskiego głosu, znać, co mam robić.

Nagle jej ojciec z rozwianą brodą. Zerwałem się.

— Ach, ty głupcze — mówi Batia. — On i tak nic
nie widzi. A gdy będziemy w sytuacji jednoznacznej, nie
należy nigdy, ale pamiętaj nigdy, ruszać się gwałtownie:

to zwraca bardziej uwagę. Należy wolno, miękko zmienić pozycję. Niby przypadkowo.

— Kto cię takich mądrości nauczył?

— Ach, jedna starsza pani, która mnie przygotowuje pod względem seksualnym na Paryż. Zaprowadzę cię do niej, gdy nauczysz się chodzić.

Milczenie w półprzyciemnionym pokoju.

— Słuchaj, posłuchaj mnie dobrze.

— Słucham.

— Gdy zadzwoni trzykrotnie telefon...

Pani Cin miała telefon, pokryty kurzem, który nigdy jeszcze nie dzwonił.

— On działa, gdy się telefonuje. Lecz od was nie można telefonować. Uważaj: Gdy zadzwoni trzykrotnie telefon, to znaczy, ja będę dzwoniła trzykrotnie, kładąc za każdym razem słuchawkę.

— Ale na miłość boską, ja siedzę cały dzień.

— Po pierwsze — to będzie zazwyczaj, gdy ty już nie siedzisz. Po drugie trzeba, abyś nie siedział.

— Jak to?

— Widzisz, to tajemnica. Ciocia Cin ma takie zbożenie, że miała psy. I tym psom kupowała obroże. Ma tych obroży bardzo dużo. Jak sobie pozwolisz nakładać obrożę, to ona się zgodzi, żebyś podchodził do telefonu. Spróbuj nauczyć się chodzić; potem zobaczymy.

23.

Opierałem się na jej smukłym ramieniu. Ona to robiła dobrze. Poddawała się rytmicznie, gdy potrzebowałem jej pomocy — sztywniała. Była giętka, silna. I tak opierając się na jej ramieniu, którego nie można było jeszcze nazwać ramieniem kobiety, dotarliśmy do celu.

— Daję ci dziesięć piastrow, — powiedziała Batia — które mi ktoś dał, nie pamiętam kto. Możesz sobie je wziąć. I ja czasem jestem u was. Serwus.

Podprowadziła mnie pod drzwi i zrobiła baj, baj ręką. Odeszła.

Ja trzymałem dziesięć piastrów w ręce i postanowiłem nie mówić o nich pani Cin. Postanowiłem też pozwolić sobie nakładać obrozę po zmarłych psach.

Gdy wszedłem do mieszkania przywitał mnie Edka:
— Dobrze, że już jesteś.

Pani Cin odrabiała swoją wieczorną zmianę w klozecie. Była już może dwunasta. Wyszła.

Edka już spał. Chrapał rozłożywszy swoje szerokie ramiona. Ja czekałem na nią.

— Podobno miała pani ładne psy.

Ona ruszyła niespokojnie wąsami, włożyła protezę, która leżała na stole, do ust, i powiedziała:

— Batia ci mówiła, naturalnie. Naturalnie, że miałam. Widzisz — tu otworzyła szafę — tego Mrumrusia, Świętej Pamięci, przejechał samochód. Ten Czau to się otruł, biedny.

Siadła koło mnie na kanapie.

— Przymierzmy — powiedziała pieszczotliwie.

Nałożyła mi obrozę widocznie dużego psa, obrozę z linką. Obroża miała nawet znaczki magistrackie.

— Przedłużam je, mimo że psów nie mam — powiedziała wstydliwie.

Gdy już zapięła obrozę, szepnęła trzymając linkę w ręce:

— Chodź, pójdziemy na spacer.

Ja osunąłem się na trzy nogi, „zrobiłem się na pies”, jak mówiła dziewczynka z góry, i przeszedłem małą przestrzeń. Wtedy ona powiedziała cicho:

— Och.

Odwróciłem się i zobaczyłem jej sylwetkę w ciemnym pokoju. Skręciła się w orgazmie. Opadła na tapczan, który odbił jej regularne skurcze. Była podobna do żmii. Potem leżała jeszcze długo na tapczanie a ja bałem się zdjąć obrozę. W końcu podniosła się, usiadła i powiedziała całym oficjalnym głosem:

— No, jutro do klozetu.

Wtedy to zawarłem z nią umowę w sprawie telefonu. I przyrzekła mi laskę nieboszczyka męża.

24.

W klozecie było coraz to ciężej. Podczas chamsinów Edka wynosił mnie często nieprzytomnego. Czekałem niecierpliwie telefonu Batii i nie wiem, ile czasu mijało. Czekanie jest dla mnie czynnością nieznośną. Jestem cały skoncentrowany w czekaniu. Tak że gdy nawet nastąpi to, na co czekałem, przesuwa się znaczenie.

Podczas chamsinów owady chowały się. Ciemne błyskawice dnia, nawet pająki. Wieczorem latały tylko nietoperze. Były duże jak szczury. Wróble schodziły się na pewnym krzaku, aby omówić kurs prosa. Potem robiło się całkiem cicho, gdyby nie kwiki przelatujących gacków i miauczenie kotów.

Pewnego niespodziewanego dnia zadzwonił trzykrotnie telefon. Dopełzłem do niego, podniosłem słuchawkę. Batia.

— Masz jeszcze te dziesięć piastrów, które ci dałam?

— Mam.

— No to przyjdź na róg mnie wykupić. Jestem winna za kawę i nie mam ani grosza.

Ponieważ był to czas wolny, koło wieczora, poszedłem w kierunku szukanej kawiarenki. Chodziłem bardzo wolno. Wzdłuż domów, dla zaczerpnięcia oddechu. Wreszcie dowlokłem się, wraz z dziesięcioma piastrami, na róg i miałem tylko przejść na drugą stronę. Podeszła pewna pani i z miną litościwą ofiarowała się mnie przeprowadzić. Dała też milsa.

Obserwowałem wywieszki: Lombrozo-ortopeda, pani Noe Allembik — suknie, pani Groskopf robiła biustonosze, zaraz obok szewc Obrotny. Chodziłem, jak już powiedziałem, pod samymi murami, aby się podeprzeć. I jeszcze: aby nie być widzianym. I jeszcze: instynktownie unikałem słońca, którego i tak nie było. Lecz pani, która dała mi

milsa, była wesola i szła do kawiarenki. Na zewnątrz siedziała Batia w towarzystwie włochatego młodzieńca z wytatuowaną kotwicą na ramieniu. Podszedłem. Zobaczyła mnie. Tylko zobaczyła i gada dalej z wąsatym młodzieńcem. Usiadłem na murku. Siedziałem. Aż ona:

— Zapłać za nas.

Wyszła właścicielka kawiarenki, z jednym zębem na przodzie, tylko jednym, z płaską piersią. Powiedziała po polsku:

— Pan płaci siedem piastrów.

Zainkasowała siedem piastrów i odeszła.

Batia z młodzieńcem wstali:

— Pójdziemy w stronę morza.

Młodzieniec zgodził się, a ja za nimi. W tej chwili dało się słyszeć wołanie:

— Alte Sachen, alte Sachen, stare rzeczy kuuupuuuję.

Batia krzyknęła:

— Heej! Stój.

Byłem ciekaw co sprzeda. Ale ona zdjęła spódniczkę, pod którą miała spodenki, i zaczęła się targować z Alte Sachen. Ten oglądał spódniczkę i mówił, że niemodna, że stara i że. Ona odpowiadała szybko, swobodnie, tak że w końcu spódniczka znalazła się w worku. Po prostu zaga-dała go i zakorkowała. Miał minę zrezygowaną i dał jej dziesięć piastrów. Batia powiedziała:

— Pójdziemy na plażę.

Wcisnęła mi do ręki dziesięć piastrów:

— Ty płacisz za leżaki.

Ja myślałem o jej ciele, do którego nie miałem dostępu, i nie wiedziałem, jak tę sprawę poruszyć. Szedłem za nimi i widziałem skórę blondynki, która się dobrze opala. Nic nie może być ładniejszego. I zachód słońca. Oni szli wolno, rozmawiając po hebrajsku. Więc ja za nimi w pośpiechu. Widziałem jej mocne, zgrabne nogi, obute w greckie pantofle na niskim obcasie, z jednym paskiem między palcami. I potem schodziliśmy schodami na plażę, która o tej porze była pusta. Ona ustawiła trzy leżaki obok siebie i rozmawiała z ożywieniem z tamtym. Nosila krótkie, białe spo-

denki, bluzkę w szerokie pasy bez rękawów. O Boże, miała długie nogi, ładne z lekkim meszkiem. A jej ojciec pisał w tej chwili szirim, psalmy, o Boże.

Tego dnia było jakieś święto. Miałem okazję słyszeć w klozecie modlitwy żydowskie. One nie proszą. Żądają. Nawet grożą. Mówią do Boga tylko słowami uniżenie. Poza tym mają coś z targu z Bogiem, który wybrał ten naród.

Na plaży. Słońce zapada się w morze i dziś nie rozpryskuje wody. Ciemność zaczyna wydobywać się z ziemi. W końcu otacza nas.

Kotwica żegna się. Umawia się, zdaje się, na jutro. Ja mówię do niej cicho:

— Chcę cię.

Ona śmieje się.

— Jak braciszku chcesz pomacać różne kształty, to pojedź autobusem. Tam jest taki ścisk, że nie wiadomo czyja ręka, czyja noga. Możesz mieć najrozmaitsze biusty, brzuchy. Pojedź autobusem. Będziesz mógł swobodnie przejeżdżać się po tyłkach. Są teraz mało ubrane. Nie noszą staników ani majtek. Jaka okazja za siedem milów. Mówię ci. Tam są rzeczy niebywałe. Nawet wsunąć możesz, jak będziesz sprytny. Ale ty nie jesteś sprytny. Niestety. Nagle mówi : chodź.

Prowadzi mnie do machlulu numer trzydzieści osiem, gdzie stęka jej ojciec.

— Nie przejmuj się nim.

Już wiedziałem, jak odpina się stanik. Ale ona go zdjęła sama. I spodenki też. Robiła to powoli, patrząc na mnie. Miałem wrażenie, że uczyła się czegoś. Kobiety zawsze się uczą. Nigdy nie przestają studiować.

Więc ona naga, ciało dziewczynkowate, trochę chłopięce. Całe opalone. Lśniąca plama. Stojąc, gdy ja leżę, mówi:

— Może się odzwyczaisz od swojej choroby?

— Jakto, odzwyczaisz?

— No, po prostu... nie będziesz chory.

— Ale ja...

— To jest brzydkie przyzwyczajenie i kto wie, czy ty tego nie symulujesz.

I znów jej ciemne sutki, na połyskującym ciele. I okno otwarte z jeszcze różowymi chmurami. Tapczan był niski, bardzo niski. A koło niego skóry jagniąt. I Alte Sachen z daleka. Tuż obok — jej ojciec. Umiała się tak całkowicie oddać, że nie pozostało znaku. Jak z okrętu, który poszedł na dno. Przepływała nade mną niby fale, uderzając o mnie, pochylając się (jak fala biegnąca), prostując się (jak fala trafiająca o skałę), aż stoczyła się z zaciśniętymi wargami — drgając. I pozostała tak. Nie otwierając oczu. Tylko zwiesiła głowę i zwolniła zęby. Po dłuższej chwili spytała:

— Jak to się stało?

Potem obróciła się na wznak, ciągle świecąc złoto.

Pachniała niby zbudzone dziecko. I powoli rozbłyskiwały jej oczy, oczy świecące w mroku, jak kocie. Po mału przeciągała się. Włożyła spodenki i bluzkę.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że to nie ona mi się oddała, a ja jej. Nie można było jej zdobyć. Zawsze przez jakiś upór dziecięcy wymykała się, gdy się myślało, że się ją ma. Po prostu była tam gdzie jej nie szukano. Miała dar ulatniania się. To ona mnie posiadała przez to, że mówiła chrrr, zaciskała zęby, leżała bezbronna, i nic jej nie można było zrobić.

25.

Wracałem, pracz zwijał swoje sieci: prał firanki i rozpinął je szeroko.

— Dobry wieczór, panie Sprung.

I on odpowiadał:

— Z Bogiem. Jak tam stara?

Miał na myśli panią Cin.

I mówiłem:

— Dzień dobry, Dawid.

Fryzjer. Miałem długą brodę i nie goliłem się.

W tej chwili wpadła na górę dziewczynka, skandując:
— Da-wid, Dawid, król Israeee-la. I tak w kółko.

Jak tylko wróciłem do domu, pojawiło się w moim pokoju drugie łóżko, a na nim typ długi i zielony. Nie zwracał na mnie uwagi. Była to widać jego profesja, którą wykonywał z dużą dozą automatyzmu. Miał małe wąsiki. Był już w pidżamie. Wtedy weszła pani Cin i powiedziała z dobrocią:

— Po co takie koszty? Niech pan powróci do ubikacji i koniec. A tak? Wie pan, ile mnie kosztuje wyszybajło: ale skutek gwarantowany. Podpisaliśmy umowę u adwokata. Gdybym nie musiała chodzić na Posiedzenie Pisma...

— A smycz? — powiedziałem nieśmiało.

— Smycz, to telefon i laska. A zresztą on się zgodzi, na cztery nogi, nie na trzy. Choć jednego mopsika miałam, co kulał. Przekona się pan i będzie jeszcze mnie pan prosił.

A on miał już ustalony system: dwustuświecową żarówkę, kuchenny budzik nastawił na trzecią rano, zamknął okno, mimo że było duszno. Rozebrał się do naga i czytał powieść kryminalną.

Byłem nieprzytomny dwa dni. Trzeciego wyszybajło powiedział:

— Jak się nie poddasz, to przetrączę ci przypadkowo kark. Jesteś słaby i każdy pomyśli, że ci się to mogło zdarzyć. Gdzieś w korytarzu. A zresztą nie będzie się chciał wtrącać. A gdy się to nie uda, pomyślimy o jakichś środkach chemicznych. Gdyby się to nie udało, zrobimy z ciebie wariata i będziemy cię siłą wynosić do wychodka, że niby niebezpieczny dla otoczenia. To jest najlepsze.

I Edka wchodził do pokoju, od czasu do czasu, i mówił:

— No, poddaj się stary, to beznadziejne. Nawet lew tutejszego Zoo mieszkał przez rok w klozecie. Mamy tylko niepotrzebne koszta. I w końcu na lekarza, żeby zrobić z ciebie wariata. Po co to wszystko?

Ale ja byłem pół-przytomny i nie mogłem odpowiadać. Wreszcie sprowadzili lekarza, dr. Siegberta z przeciwwka, który wydał następujące świadectwo:

„Zaświadczam niniejszym, że Piotruś, zamieszkały przy Chapu-Chapu 8 u p. Cin, przez nią zakupiony na targu, cierpi na ostre ataki szału i w związku z tym musi być odosobniony i pozbawiony pokusy samobójczej. Chory cierpi ponadto na stany paranoidalne, w związku z czym zdaje mu się, że w jego pokoju przebywa tzw. wyszybałło, który w rzeczywistości jest kwalifikowanym sanitariuszem i może choremu oddać nieocenione usługi.

Dr Siegbert''

— Więc jak nasza sprawa? Co? — powiedział zielonkawy wyszybałło.

Było to pod wieczór i paliła się dwustuświecowa żarówka. Miałem usta sklezione od żaru, więc wybelkotałem niewyraźnie:

— Nie.

Usnąłem. Gdy o pierwszej w nocy zadzwonił budzik, wzmocniony trzema talerzami, podskoczyłem i zacząłem wołać:

— Tylko w klozecie. Tylko. Jedna jest wolność i ona przebywa w klozecie. Niech żyje! Niech żyje! Ja chcę już, już...

Pani Cin wstała, ogłędnęła mnie podejrzliwie i powiedziała:

— No, marsz w tej chwili i koniec z nim.

Zamknęły się za mną drzwi, zwinąłem się u stóp sedesu i natychmiast usnąłem.

Obudziłem się w ciężkim słońcu, które zwiślało niby olbrzymi, świecący owoc. Nie było możliwości popełnienia samobójstwa. Chyba utopić się w muszli, co było bardzo trudne. Więc znów zwijanie się kusztowne, z koniecznym opalaniem jednej części ciała, wędrówka od słońca, ucieczka, wspinanie się na ściany, aż do rezerwuaru, spuszczenie wody, przemywanie nią rąk i skroni, dopóki byłem przytomny. A potem słońca, słońca, gasnące, jakby różni wielbłąda, ociekające juchą, od której mi się niedobrze robiło. Czasem dniem zeskakiwałem na dół i słońce wydawało się osiągalne, chciałem je zniszczyć, zamordować, żeby go nie

było. Więc łapałem je rękami i dusiłem, lecz ono wymykało się zręcznie, parzyło ręce, przezierało rażąco, tak że musiałem zasłaniać oczy.

Gdy nareszcie późnym wieczorem pani Cin wypuszczała mnie, byłem jej, przeraźliwie dla samego siebie, wdzięczny. Poczłogałem się do pokoju, zacząłem lizać brzeg jej domowej sukni, lizałem, i wydawał mi się smaczny. Kocioł rosółu można by z niej wygotować.

Edki nie było. Prawie nigdy nie paliła światła. Odemknęła szafę, wybrała obrożę, trochę ciasną, założyła mi, i zacząłem radośnie szczekać.

— Cii — powiedziała pani Cin. Włożyła kapelusz, woalkę, umalowała sobie usta, dopiero potem powiedziała:

— Na spacerek.

Ranem wdrapywałem się znów na ściany, gdy było słońce, przeraźliwe. Nauczyłem się głowę wkładać do muszli, do wody. Gdy ją potem wyjmowałem, wszystko się kręciło.

Na górze dziewczynka skandowała: Da-wid, Da-wid, melech Israel. Pani Cin mówiła zwykle, wychodząc:

— Przyzwyczai się pan. Nie takich przyzwyczajałam.

26.

Pewnego razu przystawiono drabinę do mojego klo i na drabinie Batia. Patrzyła, czy jeszcze żyję.

— Ach, zdechlaku ty, zdechlaku — powiedziała.

Weszła do klo, zarzuciła mnie na ramię, zeszła po drabinie.

— Śmierdzisz jak zaraza — powiedziała.

Ona pachniała solą morską.

Na ulicy stało małe auto. W nim nieznanym mi gości. Schowała mnie do bagażnika i ruszyliśmy.

— Oh, całkiem zapomniałam o tobie. Po prostu zapomniałam. Najpierw ten kotwica, potem Sigi, Hans, później jakiś australijski porucznik, zalałam się wtedy w pestkę

i z nim przez dwa dni, a potem już nie wiem. Całkiem nie wiem. Dopiero przypomniały mi siebie dziesięć piastrow. Gdyby nie to, to byś dalej gnił. Wzięłam dla siebie swoją pidżamę. Na razie wystarczy. Stań na chwilę! No zatrzymaj się — powiedziała do kierowcy.

Włożyła mi pidżamę.

— Daj coś zjeść — powiedziała.

On, kierowca, wyjął konserwy i chleb. Ale gapił się na Batię.

— Dokąd my jedziemy?

— Do Haify. Do małej wioski arabskiej na Karmelu. Aha, czekaj, więc robiłam zdaje się coś więcej. Z jedną panią. Byłam wtedy podchmielona.

Batia otworzyła konserwę mięsną, powiedziała do mnie:

— Masz, żryj.

— Kto to jest ten pan? — wskazałem na kierowcę.

— To jest pewien pan, nie wiem, zdaje się, Lulu, który jest właścicielem tej dryndy. On mnie zabiera na Karmel.

— A mnie?

— Ciebie też, prosiłam go, abyśmy na chwilę się zatrzymali.

Pan zrobił:

— Hm, chr.

— No bo nie? — zwróciła się do kierowcy.

— Ona mi powiedziała, że tylko coś powie pewnej pani.

— Cioci Cin, naturalnie. Ponieważ jej nie było w domu...

Pan był starszawy, miał widać wielką ochotę, gdyż podrapał się w ucho. Powiedział:

— Dwa dni urlopu a potem znów mundur. Jedźmy do Haify.

Ja z pełną gębą konserwy:

— Naturalnie.

Więc ja na siedzeniu tylnym, Batia z Lulu na przodzie i jedziemy.

Jest koniec kwietnia. Tyle kwiatów i ziół, których nazw nie znam. Nie ma na chwilę podmuchu, który psychicznie wyjaławia, wysusza, tak że wiatr podnosi się na wydmach piasku. Jedziemy wzdłuż łańców ostów, które kwitną niebiesko i są wysokości człowieka, a przy drodze ciągle czerwone anemony, maki.

— Ty tego nie widzisz — mówi Batia — że jedne są zbudowane na kolorze fioletowym, w głębi jest fiolet, drugie na purpurze.

Wiatr bawi się liśćmi. Potem Dolina, z brzegu słoneczna, w wnętrzu głęboko, mokro, ciemno-zielona, między tańczącymi pagórkami. Początek Karmelu, już widać wykluwającą się, jak biały ząb, Haifę. Skały, gdzie gnieźdzą się jastrzębie: rozpinają swoje wielkie skrzydła pod wiatr. Zieleń się pieni. Stanęliśmy chwilę: żabie oczka, niezapominajki. Tylko większe niż w Polsce.

Rośliny są tu bardziej soczyste, włochate, wielkie, czasem karłowate; jak na przykład dęby, które rosną krzewami. A żółędzie mają ogromne. Potem domki, a na nich powoje.

Wykrzykuję:

— Te są czystoniebieskie, jak niebo.

Batia kiwa głową.

— Ale tamte są neonowe, elektryczne, nie takie ładne.

I drzewa kwitną: na czerwono, niebiesko, żółto, olśniewająco biało. I czasem zboże, dynie, kartofle. I banany: mają liście niby łódki, którymi da się owinąć człowieka.

Powtarzałem cicho:

— Niezapominajki, to są kwiaty z bajki. A jak będzie deszcz, to co zrobisz? — pytałem, patrząc ciągle na te same spodenki Batii.

— Wariat, przez siedem miesięcy będzie grzało. Bez przerwy.

Gdy przyjechaliśmy do Haify, okazało się, że nie możemy mieszkać w wiosce arabskiej lub sąsiedniej druzyskiej, lecz musimy być, przynajmniej chwilowo, w

dzielnicy portowej. Wtedy zdałem sobie sprawę ze stosunków Batii.

28.

Batia zostawiała mnie na długie godziny w kawiarni i rozpiniała w nowym miejscu sieci, jak pająk. Łączyła różne sobie środowiska, czasem wrogie. Znała dobrze ludzi i w jedną minutę była z nimi na „ty”. I mieli złudzenie, że jest tylko z nimi na „ty”. Jeśli było trzeba, włąziła mężczyźnie do łóżka, normalne kobiety uwodziła z łatwością, a nawet zwierzęta były o nią zazdrosne. Chodziła do tak zwanych porządných domów żydowskich, arabskich, do przemytników, melin, domów publicznych, gdzie omawiała sobie tylko znane sprawy. Wracała krętymi uliczkami dolnej Haify, ciągnąc jakiegoś gościa, który płacił.

Lulu zniknął. Siedziałem dniami i nocami w kawiarni, której właściciel mówił trochę po francusku. Ponieważ ja też trochę, więc mieliśmy wspólny język. Ja, ubrany w pidżamę Batii, wzbudzałem czasem litość: rzucano mi piłę, zostawiano porcję humusu, tchniny, nawet jeden Arab w szale zamówił dla mnie kabab. Dwa razy na dobę przychodziła Batia. Wówczas prosiłem o nargile, lecz po krótkim czasie wymiotowałem. Dym był lekki, pachnący, ale trafiający do głowy, żołądka. Byli też marynarze, od których Arabowie odcinali się zupełną obojętnością. Trafiali się Libańczycy, prowadzący karawanę, którzy biegle mówili po francusku. Taki spędzał w kawiarni dzień cały, jadł sznyceł, lody, barana obracanego na rożnie i pił zielonkawą ciecz. Potem zamawiał młodego chłopca, z którym szedł na górę lub na podwórze. Kucharz miał dwóch pomocników, którzy właśnie służyli dwojakiemu celowi. Sam nazywał się Achubbet. Już teraz był pół-nagi, a potem całkiem. Przypominał palacza okrętowego. Olbrzymi, muskularny.

Pewnego razu przyszła żandarmeria angielska, coś mówili, przynieśli kubeł z farbą, rozebrali gości i namalowali jądra na zielono. Potem nagich puścili na miasto, zabierając

szaty. Tylko dzięki ubikacji ocalałem. Tak przesiedziałem w kawiarni siedem dni i siedem nocy.

Później przyszła Batia. Powiedziała:

— Chodź — i ja poszedłem.

Znowu jakiś mężczyzna w drelichu, szarpnięcie jeepu, i jedziemy na samą górę, na szczyt Karmelu.

— Tego Lulu to się pozbyłam — mówi Batia. A teraz muszę się pozbyć tego Anglika. — Stań — powiedziała. — Jemu się chce pisać, muszę go zaprowadzić.

Wyskoczyła z auta, i zniknęliśmy w krzakach.

— Tu, jesteśmy na miejscu — pokazuje na willę w ogrodzie. — Przyjechałam do jednego gościa i nie wiem, czy będzie w domu.

29.

Dzwoni. Każe mi się przedtem schować za krzak. Otwiera służąca. Rozmawiają po hebrajsku. Potem Batia daje znak. Wkradam się.

— Gdzie się mam schować?

— Na razie nigdzie. On pojechał do Jerozolimy. Przenocujemy tu. Ona zaraz odchodzi. Poza tym zna mnie jak zły szeląg. Będziemy mieli całą willę. To też coś warte.

— A co będziemy jeść?

— Oooo, nie martw się. Pełny frizider. Tylko żeby ona odeszła.

Po mału ciemnieje. Światła Haify. Neonowe reklamy z za węgła kamieniołomów, w szczelinie góry. Port, światła. I, jak kaganki, zapalone na morzu światła rybaków.

— Policz je.

— Szesnaście.

— To dobry znak.

— Zaszuj mi pidżamę.

— Weźmiemy jego, świeżą. Tę to wyrzucimy.

— Zostaniesz dziś ze mną?

— Tak. Bo jego nie ma.

— To opowiem ci różne rzeczy.

— No to opowiadaj.

— Nie wiem od czego zacząć.

— Od czego bądź.

— Byłem w Teheranie. I chodziłem do burdeli. Tam pracowały dziesięcioletnie dziewczynki.

— Jak to robiły?

— Całkiem dobrze. Wiesz, że nie miało się wcale wrażenia, że są uczone. A były uczone, lecz robiły to z natchnieniem.

— Co znaczy „z natchnieniem”?

— Że robiły to całkiem naturalnie, po łaźni, po prostu gdy leżałeś włożyły na ciebie i robiły różne rzeczy. I żebyś widziała minę takiej smarkuli.

— Wielkie rzeczy. Ja od dwunastu lat. A ruszałam się dużo wcześniej.

— Ale one nosiły specjalne suknie, były wymalowane. Tak jak tu dzieci na Purim. I dzieci na Purim przypominają mi tamto.

— W Jerozolimie, osioł z kobietą. A żebyś wiedział, jak ona go drażni. Ona, kobieta, wisi na osle, trzymając się jego głowy i obejmując kolanami.

— Gdzie to się odbywa?

— W jakimś podwórzu czworokątnym. I musi się płacić. Sami mężczyźni.

— A jak ty?

— Byłam przebrana za chłopca. W Paryżu tego nie ma. Nie ma na pewno. W południowej Francji jest dużo osłów. Ale tego nie ma.

— A jeszcze tam w Teheranie chodzili pięcioletni chłopcy z tacą na głowie. Na tacy pomarańcze, złote rybki w akwarium, kura gotowana, suszone owoce, jedno na drugim. Tam właśnie w burdelu.

Batia zaczęła się cicho śmiać.

— Nie śmiej się. Tak było. Chodzili. Mieli oczy czarne,

duże oczy. Dziecinne. Poważne. Tych chłopców też używali starzy Arabowie.

Leżymy na obszernym łożku. Patrzymy na neony odbite w lustrze.

— A coś jeszcze tam robił?

— „Interesiki”, jak nazywał je pan Bujanower. Przedstawiał się: Bujanower jestem, Leszno 32, dom własny. Więc mieszkałem tam w barakach, drewnianych barakach, podzielonych na rodziny zwisającymi kocami. Rysia spała koło mnie. Gdy budziłem się rano, wyciągałem przez koc rękę do Rysi i mówiłem: Dzień dobry. Była też mama Rysi. Gdy wyciągnąłem pewnego razu rękę, natrafiłem na mamę. Bała się. Rysia miała przecież szesnaście lat. Gdy Rysia widziała pana Bujanowera, krzyczała dusząc się od śmiechu:

— Pan Bujanower idzie, pan Bujanower.

Pan Bujanower wchodził, kłaniał się, podchodził do mojej pryczy i mówił głosem przyciszonym:

— No, Piotruś, może by pan ruszył mózgiem, coś wymyśleć dobrego, interesującego.

Odpowiadałem:

— Proszę się położyć. Nie mogę myśleć, jak pan stoi.

W Teheranie jest szuk-olbrzym. Zajmuje może trzecią część miasta. Jest kryty tak, że światło dzienne pada przez niewielkie otwory w kopulastych niszach. Są tam kawiarunki, restauracje, meczety, burdele, składy. Przez Teheran właśnie szła główna droga pomocy USA dla Sowietów. Na szuku w Teheranie można było kupić opony, części samochodów, tanki po niższej cenie, części armat. Było to miasto dla siebie. Mimo pracowitego zwiedzania szuku znam tylko trzy wyjścia. Tamtędy szły ogromne Studebaker-y, o zmierzchu, krętą drogą górską, szoferzy gryźli gałązki bzu. Tam rozgrywały się partie wywiadów, które prawie zawsze wygrywali Sowietci. Mówiłem panu Bujanowerowi:

— Idź tam a tam i kup tekstylia, które będą tankami, i sprzedaj Achmudowi, który będzie już wiedział co ma z nimi zrobić.

On robił interesik, sukinsyn. Pewnego dnia powiedział mi szeptem, że przy oddawaniu kału robi też spermę. Więc zaparł się. Krzyczał:

— Ja to chowam dla mojej żony i córeczki. Leszno 32! Oooo, ja nieszczęśliwy.

Nic to nie pomogło. Zaczęło go łapać na ulicy. W końcu dostał żóltaczki. Tymczasem w obozie namawiał mnie mój przyjaciel:

— Pojedź do Indii. Pojedziemy razem.

Hindusi z Pendżabu, z kobiecymi włosami chodzili do latryny ze srebrnymi naczyniami: nie wolno było używać papieru. Hindusi z Pendżabu przyklejali się do masztu namiotu i mówili, obejmując go serdecznie: — French Madame miał, Polish madame miał, English madame miał — i dalej i dalej. Europejki były w ogóle ciekawe, jak oni to robią. Niektóre pociągały długie, kobiece włosy. Ale nie pojechałem do Indii, nie pojechałem do Afryki Środkowej. A to mogło być bardzo interesujące. Siedziałem na szuku cały dzień. Lubiłem jego szum.

— A co jeszcze? — pyta szeptem Batia. — Co jeszcze?

W Bejrucie w samym środku miasta jest dzielnica czerwonych latarni. Tam siedzą w oknach prostytutki wyczekujące, w norach gdzie są tylko drzwi, siedzą półnagie i tańczą w takt małego radia. Gdy wchodzisz, klękają, pytają, czy masz jakieś specjalne życzenie, potem zasuwiają firanki, każą ci się położyć, mówią, że „nie trzeba być zbyt zmęczonym” i rozpoczynają rozmowę. W czasie rozmowy, zresztą obojętnej, orientują się i powoli, powoli. Nie możesz ukryć przed nimi twojego podniecenia. Zawsze, w ostatnim momencie, stop. Tak prawie w nieskończoność.

— Słuchaj, ja mam jechać do Paryża. Nie mam forsy. Ale myślę, że za pomocą tego, co już wiem, objadę cały świat. Będzie to kosztowało wiele energii, zręczności, pomysłów. Ale spróbuję.

— Czy się naprawdę chcesz uczyć malarstwa?

— Tak, tak myślę. I poszwendac się trochę. Nie siedzieć w jednym miejscu do obrzydliwości, aż się twarze, ulice, skleją w jedno jak pomyje. I nie widzisz nic więcej.

Świat ostry, przenikliwy, który uderzy, kontrastowy. Nie taki świat, jak tu, prowincja prowincji. Oddech morza, oddech innych krajów, wszystko różne, wszystko nowe.

Westchnęła.

— Wszystko inne — powiedziała. — Tego potrzebuję.

— Był pewien Kant z Królewca, który nie wyjeżdżał poza granice miasta. I miał wszystko, to co ty, i jeszcze dużo więcej.

— Ale ja nie jestem Kantem. Nawet Miró nie będę. Nie wiem czym będę. Na razie to chyba modelką i kochanką. Będę się dużo uczyć. Od ludzi, którzy mnie będą malować, od ludzi, którzy mnie będą kochać. Nie to co w kibucu.

— Co było w kibucu?

— Wyobraź sobie miasteczko, liczące sto osób. Zwarować można. Każdy wie o każdym. I dziewczyna ma spać z trzema chłopcami. Wszystko na to samo kopyto. Ooo, uciekłam.

Jest rozmowa, która toczy się na powierzchni. Jest inna, która zapada się głębiej, jak w ciepły piasek. Jest taka która już nie jest rozmową, w której nie wiadomo kto do kogo mówi, kto komu odpowiada, i dno jest wspólne. W końcu znalazłeś.

Potem rozebrała się. Okazało się, że ma cienką linię między piersiami a brzuchem.

Było ciemniej, a przez to wydobywały się z mroku pewne szczegóły niedostrzegalne za dnia. Jak ludzie mają dołeczki w brodzie, tak Batia miała je na zewnętrznej stronie ud. W stawie biodrowym. Myszki między piersiami. Oczy polerowane na niebiesko. Żałamanie w punkcie przecięcia źrenicy. Oczy twarde. Małe rozgałęzienie niebieskich żyłek na lewym ramieniu. Błada, ze skłonnościami do migreny. Biała, zwłaszcza przed miesiączką.

Mówi:

— Kiedy będę miała pieniądze i będę trochę starsza, dam sobie zrobić wszystkie plastyczne operacje, jakie istnieją: naciągnąć skórę na twarzy, podciąć piersi, zrobić wreszcie jakiś nos, i wiele innych, których nie znam.

Wzdycha.

Opowiadam o Persji. Jak tam czarowałem koty. W nocy, przynosiły długie cienie i ocierały się o mnie. Zwoltywałem je miauczeniem kotki, przeraźliwym krzykiem. Przypatrywała się liczna grupa ludzi. Wiesio też, który teraz jest lekarzem. Były ogromne i ciche. Miałem wówczas władzę nad kotami i dziećmi.

Ona patrzyła na mnie dużymi, szklistymi oczami, zielonymi, neonowo-niebieskimi, w których falowało morze.

Wieczorem burza stoi na zachodzie. Światło otulone bordowym zamszem przecieka przez chmury na ciemny już las cyprysów. Nerwowe błyskawice skaczą z gór w dolinę. Czarny ptak wzniósł się i opadł.

Gruby Pers siedzi na miękkim dywanie, pałac nargile (trochę opium), zupełnie jak w bajkach, myślał czy firma Abuwab, dziś Praha, przyśle na czas opony, dla niego, tylko jedno auto, broń Allah więcej, później szofer firmy Praha odwiezie je za Teheran, na pewne ruiny Świątyni Czcieli Ognia. Sprawę łapówki, rachunków, pokwitowań, załatwi Anglik. Chodzi tylko o to, aby uprzedzić tego drania, Hadża. Niebieski dym falował w nargili, popatrzył przez dym i szkło na służącego i zobaczył swoją podróż do Damaszku, na wielbłądach, dawną, nie istniejącą, powiedział: — Woda i lód. Położył się równo na dywanie, pół-spiąc, pół-paląc, dyszał, marzył, obliczał ryzyko, kurczę, które trawił, miło mu ciążyło w żołądku, jego kochanek, goniec z kantoru, był wdzięczny i miał głowę na karku, i nagle ścisnęło go coś w przetyku: Była to sprawa młodzieńcza, jego pierwsza podróż do Damaszku, wielkoświatowa nierządnicą, białą, blondynką, zostawiła mu jako gwarancję, że wróci, swoją córeczkę. Ile ma lat, tego nie mógł się doliczyć, choć był niezwykle wprawny w liczeniu. Powiedział do służki „przyprowadź Auen i zamknij drzwi”, udając całkowitą obojętność. Był taki zajęty przez ten czas, przez długie lata, i nie wie, iloma Bóg obdarzył go dziećmi, pamiętał tylko, że ma jedenaście żon, nie licząc nałożnic. Że kiedyś wierzył w gwarancję, to wydawało się śmieszne.

Przyszła Auen, w końcu przyszła, po długich poszukiwaniach, trzymała w ręce kawał baraniny, ociekał tłuszczem. Miała niebieskie oczy, całkiem dzikie i obłąkane. Wytrącił jej kość z ręki, powiedział:

— Siądź koło mnie.

I dalej:

— Ty tu mieszkasz dawno?

Auen zaśmiała się.

— Dawno już — powiedziała.

— Wychowuje cię Pata (to była jego najstarsza żona) i ona chodzi z tobą po naszym ogrodzie, który jest duży i piękny.

— Strumień jest piękny i jak wchodzę na wysokie drzewo granatowe, to widzę meczet za naszym murem.

— Byłaś tam?

— Ależ nigdy nie opuszczałam ogrodu. Zresztą raz, jako pięcioletnia dziewczynka, byłam. Nosiliśmy ryby do basenu.

Przypelzła do kawałka kości, który on jej wytrącił. Złapał ją za nogi, przyciągnął, powiedział:

— Bądź cicho — i rozebrał ją.

Trzymała w ręce kurczowo kość.

— Teraz słuchaj mnie dokładnie.

I wyłożył jej, jak ma się ułożyć, co ma zrobić. Zainteresowało ją to. Potem powiedziała, żując kość:

— To nie było przykre.

Nagle rzuciła w niego mięsem i wstała. Wtedy on pociągnął ją za nogi, tak że upadła. — Za szóstym razem krzyczała:

— To jest takie przyjemne, rób mi jeszcze, jeszcze.

Batia milczała; złożone starannie spodenki leżały na krześle.

W nocy oświetlone wzgórza, łagodnie wygięte zbocza, które kończą się nagle zrywami, zygzakami na niebie, z których spływa drgająca, kolorowa mgła.

— Suliman jest stary, ostatnie zęby wypadły. Skóra zwisa z kości policzkowych. Chodzi w grubej czapie na głowie i nosi winogrona na sprzedaż. Winogrona przynosi

spod gór na równinę, lecz syn, ten najstarszy, sprzedaje mu je bardzo drogo. Jego oczy niedowidzą od czterdziestu lat, są czerwone, zwłaszcza w ostatnich czasach. Krwawią, gdy patrzy na słońce, które pryska. Suliman siada na środku pustyni, minarety miasta są jeszcze daleko w błyskach. Suliman kuca i jego nogi są miękkie, nie takie jak wtedy, gdy uciekał przez góry z Tyflisu, miasta, które ginie w świetle, gdzie urodził się jego pierworodny, co bardzo drogo sprzedaje mu winogrona. Zamyka oczy, które pieką, wystawia gołe dziąsła suche dziąsła...

— Tego nie opowiadaj.

— Człowiek, chlupoczący worek, napchany flakami, miękki, wilgotny. Dużo dziur, z których się leje, kapie, które śmierdzą, wyłożonych śluzami, flegmami, galareto-
wymi masami.

— Posłuchaj, mój ojciec jest stary i chory. Gdy się budzi ma palce sklezione. W końcu wstaje z trudem, nie jest się w stanie ubrać, nie potrafi zapinać guzików, roz-porek ma wiecznie otwarty. Przypuszczam, że świat zew-
nętrzny rysuje mu się jak przez gęstą mgłę, że świat wew-
nętrzny jest mglisty, zaspany, leniwy już, czy ja wiem, może całkiem nieruchomy. Mimo to ma odruchy, tak, tylko odruchy, do świata. Te odruchy są całkiem dostrze-
galne, tymi odruchami pisze swoje szirim. Czołga się do kłozetu. Drży cały. Ma szusy w bok, szusy w tył. I naj-
gorsze, gdy krzyczy: — Więdną mi łydki. Więdną! I on sam potężny, więdnie mi, biada mi, o biada. Ale tego nie pisze w swoich szirim. Dostrzega tylko przez szpary w swoim zaspaniu. Tak, to jest mój ojciec. Ja nigdy...

Cisza.

No opowiadaj.

— Jeśli przeszłość, która zawałiła się nade mną, spaliła wszystkie ziarna, przygniotła mnie, wydobędzie się przez to opowiadanie, to...

Cisza.

— Opowiadaj.

— Tam, na szuku, krzyczą, wołają, jakby błagali, układają pieśni o oliwkach, które są tłuste jak ogon barana,

granaty czerwone jak słońca, cebula pachnąca i chrupka, winogrona przeźrocyste, duże, „kupujcie ludzie, kupujcie ludzie wierzący w Boga Jedyneego i Jego Proroka, oliwki tłuste, jak ogon barani...”. W perskich górach jest pięknie, tak pięknie, że byłem prawie obłąkany i miałem tam zamiar zostać. Szczyty gór są różowe, niżej niebieskie i popielate. Droga wycięta w kamieniu, chytra, pnąca się jak wino po stokach, zanurza się w wąwóz zielony, granatowy, gdzie błyszczą szklany strumień. W ciemności, która schodzi zboczami, przesuwały się tak jak góry duże bryły podobne do ludzi i płazów. Czarny orzeł przeciął niebo. Potem droga wdraża się w góry, spływając między bazalty, między pluszowo-zielone zbocza. Pod szkarpami wiszą domki, pasą się barany wielkości mszyc. Na stacjach Hindusi budują czworokątne twierdze z worków ze żwirem. Duża lokomotywa wypełza powoli z lampką na czole. Ciągnie za sobą działa, wyciągające paszcze, czołgi spętane siatkami. Znowu droga nitkowata i zajazdy dziwnie spokojne, przez ich wnętrza przepływa strumień. Tam to się wcale nie jest.

Potem obóz Amerykanów. Gwar. Gazetka obozowa: „Nabożeństwo katolickie o zwykłej porze. Fryzjer przyjmuje 24 godzin na dobę. Zwycięstwo sowieckie pod X. Klozet drugiej klasy został otwarty koło kantyny głównej. Nabożeństwo żydowskie odprawi kapitan Rubin”.

30.

— Jednego nauczyłam się w kibucu: obserwować ludzi i rośliny. Zwłaszcza rośliny. Powolne wzrastanie, w ich własnym rytmie, którego nie można przyspieszyć ani opóźnić. Każda roślina ma własne prawidła i wżywasz się w te prawidła, i stajesz się inny, może spokojniejszy, i patrzysz w niebo, czy chmury, czy słońce, i potem żyjesz ogrodem, wraz z nim wzrastasz i więdniesz, to bardzo dziwne, jak człowiek, który zmienił skórę, jak nie-człowiek, rano to oglądasz słoneczniki, lwie paszcze, kwiaty na

drzewach, które się zamykają na noc, i potem, wraz ze słonecznikiem i słońcem, i kaktusy najdziwniejsze i ammaryllis, w końcu się zmieniasz w ogród, tę gałązkę odchylasz, plewisz, żyjesz zupełnie innym życiem, nieprzeczuwalnym, tuż obok, wychodzisz jak zahypnotyzowany tamtym życiem, nie umiesz znaleźć równowagi, a gdy kwitnie śliwka lub wiśnia, to nawet nie odważasz się malować, zresztą na obrazie by gównem wyszło, chyba deformując drzewo, całkiem z bliska pod niewielkim powiększeniem. Tam znajdziesz krajobrazy fantastyczne, niebywale, i nie możesz nawet malować dosłownie, i to jest niezwykle żyć życiem ogrodu.

Ja, na krawędzi nieistnienia i bytu, do którego sprowadzała mnie Batia wszystkim co robiła. Na przykład teraz, nago ryła we friziderze, zapychała się śliwkami, jadła mięso, ser, wszystko to naraz. Podszedłem do niej, przypatrywałem się jak osobliwemu zwierzęciu i spytałem:

— Ilu kochanków miałaś?

Jak zbudzona ze snu:

— Cooo?

— Nic.

Dalej jadła mannę kaszę, kurczę, kompot, wszystko naraz.

— Czy ty masz naprawdę zamiar zostać malarką?

Przestała jeść, wyprostowała się, powiedziała:

— Naturalnie.

Ale potem pochyliła głowę:

— Chcę się uczyć. Wracając do ogrodu: maluję gałęzie, naśladuję Chińczyków, maluję mrówki, maluję piasek nadbrzeżny, maluję wszystkim co mam, nie tylko pędzlem, ale szminką, ciałem, piersiami, i uczę się. Najbardziej pociąga mnie struktura drzewa, z jego sękami, nieregularnościami. Zwłaszcza przekroje drzewa. Nie wiem, dlaczego drzewo. Struktura drzewa, jego powierzchnia chropowata a może gładka... Przypominasz sobie Siddharthę Hessego? Tam się wchodzi na drzewo, aby zsunąć się w orgazmie.

Wróciła do pokoju, położyła się, wąskie stopy, brzuch

z pępkiem ładnie zakończonym, szerokie ramiona, szersze niż biodra (mogła służyć jako staro-egipski model) i oczy mieniające się ciągle, nawet w półmroku, oczy kirgiskie, i widać było, że jak dorośnie będzie miała piękne plecy, i ja zawieszony między nieistnieniem, a bytem, którego gwałtowną, nieświadomą zwolenniczką była Batia, z małym meszkiem, i wreszcie środek ciała, sam środek, okolony włosami barwy rudej.

Objęła mnie tej nocy nogami i obejmowała kilkakrotnie, całowałam jej wargi, te i tamte, i byłem zawieszony między trwaniem a całkowitą nicością. Urok nicości, jak elektrolux, wciąga. I Batię, którą też wciąga, że oddaje jej się tak całkowicie, jak ona na pozór mnie (że nie zostaje znaku).

— Ja też lubię stare koziki, kraje się nimi chleb, też brązowy, z namaszczeniem, uroczyście, powoli, w ogóle lubię stare używane przedmioty, tabakierki brzozone, sekretarzyki, szafy, półki, komody, to czego używały ręce ludzkie przez długi czas, co jest zużyte, to budzi wzruszenie. Metalu nie znoszę. Słoje na drzewie, ornamenty, chaty chłopskie, ty tego nie znasz, łodzie, balie kijanki: to wszystko drzewo. Ludzki materiał — drzewo. Tymczasem metal, szkło — obcy, nietutejszy.

— Policz światła na wodzie.

— Osiemnaście.

— To dobry znak.

Obróciła się na bok, w pozycji prawie embrionalnej, przytuliła się do mnie, zamruczała:

— Przykryj.

Ona była przecież naga, z wyraźną pręgą pomiędzy piersiami, z włosami w nieładzie, z białymi włosami, które tworzyły koła, elipsy, zadyszana jeszcze, uspakajała się powoli, usypiała we mnie, z taką ufnością. Ona, która właściwie dopiero zaczynała, próbowała i nie wiadomo było, co z niej będzie, co wyskoczy. Mruknęła jeszcze usypiając:

— Ja się niczego nie wstydzę, niczego. Może mi z tym będzie dobrze.

Budzi się nagle:

— Czy jest ten Kon, u którego mieszkamy?

— Nie, nie, śpij.

— Na razie nie mogę. Czy wiesz do czego są podobne tyłki najlepiej zbudowanych kobiet?

— Nie. Absolutnie nie.

— Do tyłków perszeronów. Zauważ. Tylko do perszeronów. Prawda? Dlaczego tak jest?

— Śpij.

— Nie mogę. Napiałam się za dużo kawy i wzięłam nowidrynę.

— Dlaczego zażyłaś nowidrynę?

— Bo miałam spędzić noc no z jakimś.

— O zwierzętach w kibucu, wiesz, wszystkie wypróbowałam.

— Ile miałaś lat?

— Może czternaście. Lecz z ludźmi w kibucu jest nudno. Przychodzą z pola, są zmęczeni i zawsze tak samo. Zwłaszcza z chłopcami. Oni nie mają fantazji. Rano idą, kroczą wszyscy do swoich urzędów, z miną poważną, jakoby coś naprawdę chcieli zrobić. I wszyscy na pozór stają się urzędnikami, sędziami, radcami, nawet sprzątaaczami ulic.

— A impotenci?

— Nie ma impotentów. Każdemu da się zrobić jakąś przyjemność. Czy polizać, czy pocałować, czy dać się pomacać, to nie jest byle co. To bardzo często decyduje.

Ona zapalała się.

— Bądź już spokojna. Jest trzecia.

— Dopiero trzecia?

— A co chcesz robić jutro?

— Jutro pojedziemy do Jerozolimy. Zobacysz.

— Zobaczę. A pieniądze?

— Ty głupi. Za pieniądze ma się to, właśnie to.

— Wydaje mi się, że czasy prostytucji są czasami pokoju i ciszy. Kurwy i pokój — to ma przecież związek. Dobrze zorganizowane domy publiczne, to bardzo dużo.

Widocznie całkiem mnie nie słuchała.

— O mnie się nie martw. Robię wszystko co możliwe. Nie masz pojęcia, jakie to dziwne z capem. Zupełnie jak z Jemenitą. Grecja, mówię ci.

Patrzyłem w ciemne niebo, na którym rozkwitały gwiazdy jak stokrotki. Słysząc daleki szum morza, które wypływa swoje wnętrzości.

Batia mówi:

— Lubię Liban. Narty. Góry wysokie. I ojczaszkwowie w górach, mnisi, którzy robią dobre wina, likiery. Chciałbyś pojechać do Libanu?

— W jaki sposób?

— Już ściągnę którego z autem.

— Zostawisz mnie tam?

— Naturalnie. On ci wynajmie pokój z dziewczynkami. A my będziemy tańczyć. Ale to nie teraz. W zimie.

— Do zimy wyjedziesz?

— Prawdopodobnie.

— Więc?

— Gdybałam.

Przeciągnęła się. Wszystko w niej faluje: brzuch wygina się, rozpręża, plecy dzięki ruchom rąk, środek ciała wraz z brzuchem, oczy świecą, to zamierają chwilami, aby potem rozżarzyć się do koloru jasnozielonego, usta, zęby lśniące, jej nogi w stałym ruchu, tył twardy, biodra, przybierające coraz to bardziej kształt zadów perszeronów rasowych. Jest żywa, ciepła, i na chwilę zapomina się. Jej towarzyskość i ascetyzm. Jej rozpinanie wielkich siatek i odchodzenie od już rozpiętych. Może jej młodość. Zaczynać, niczego nie kończyć. Od jednej nieskończonej rzeczy do drugiej. Jej małpia natura, jej nienasycenie. „Wszystko, tylko nie to” — co w danej chwili robi.

— Która godzina?

— Czwarta.

— Wiedziałam.

— Skąd?

— Zawsze przylatuje jeden komar ze swoim fletem i gra. Zawsze o czwartej.

— No, teraz jeszcze raz i śpimy.

Światła portu. Ogniki na morzu. Morze, które delikatnie chlupie o brzeg, niby cmokanie: Tkam, tkam-tkam, tkam, tkam-tkam.

31.

— Zaczął mnie w końcu ugniatać mój klozet — powiedziałem.

— Jaki znowu klozet? — spytała Batia.

— Ten, który na mnie czeka.

— Na razie jedziemy do Jerozolimy. Ta Sarah podała mi adres.

— Ale co będzie ze mną?

Widziałem już listy gończe. W rodzaju: Zawiadamiamy wszystkie posterunki policji, że z mieszkania takiego a takiego uciekł, sposobem bliżej nieznanym, paranoik schizofreniczny, niebezpieczny dla otoczenia. Drżałem, bałem się, kurczyłem, włożyłem pod łóżko, tam zwinięty w kłębek, usnąłem.

Miałem sen. Że ja niby jestem muszlą klozetową i pani Cin chętnie na mnie siada. Siada, schodzi, mówi: — No, jak wyglądamy?

Przerażony obudziłem się. Wylazłem spod łóżka. Położyłem się na łóżku. Batia spała, oddychała równo. Spała nago. Jej twarz całkowicie odprężona. Jej usta rybio rozchylone. Włosy tworzą aureolę. Gdy zbliżyłem się, lekki zapach kobiety, śpiącej kobiety. Pomału, we śnie, wziąłem ją, z ustami rozchylonymi. Nie obudziła się. Sam usnąłem już bez snów.

32.

Jerozolima. Miasto wykute w skale, poprzez które przepływają chmury piasku lub pary. Miasto, w którym rośnie (także) kwiat siedmiopiętrowy, pełny surowej zieloności. Ziemia opada tarasami, na których wiszą domy. Obłe okna

zasłaniają widok na Terra Santa, na Wielką Jesziwę, na klasztory z air conditioning, na meczet Omara. Kamiennosc jest też w powietrzu, w budowlach okolonych sztachetami, z wejściami prawie zawsze bocznymi. (Jerozolima nie lubi się spoufalać). Blanki, gzymisy, wykusze, czasem mozaiki. I najdziwniejsze: stary Arab orze kawalątko ziemi pługiem drewnianym, w murach Dawida. Chamsin w Jerozolimie — Toledo w burzy El Greca. Przerazliwie biale twarze mlodziencow i dzieci pejsatych. Wiatr.

Nieprzytomny. Sadza mnie pod leniwie chodzacych wentylatorem. Idzie na poszukiwanie gościa. Ja usypiam, budzę się, znów usypiam i znów budzę. To wszystko dzieje się w kawiarni „Vienna”. Już wieczór, jest pełnia.

Rabiny różnych swiętych gór uciekli tutaj właśnie, grób Chrystusa, Golgota, Imka, w której jest basen kryty, wszystko to można zobaczyć za pięć groszy. I German Colony z dużymi drzewami i zapachem swierków, kobiety i osła, żołnierzy angielskich, rozdających prospekty religijne (chór ładnie śpiewa), szczury, kłapią zębami jak nieboszczycy, Batia wraca, ciągnąc gościa, jest coraz to bardziej pusto.

— Ty, mam dobre nowiny.

Niespodziewanie dla mnie samego:

— Dość mam tej szwendaniny. Ja chcę do mojego klozetu.

— Poczekaj. Będziesz miał ten swój ulubiony klozet i nawet trochę wolności, z którą nie będziesz wiedział co robić.

Nigdy nie patrzę na jej gości, więc i nie patrzyłem tym razem.

— Posłuchaj. Ten pan pracuje u Wysokiego Komisarza...

— Co może Wielki Komisarz mieć wspólnego...

— Poczekaj. Wytłumacz mu. Wszystko po kolei.

— Więc proszę mnie posłuchać — powiedział pan, macając Batię pod stołem. — Jak panu wiadomo, rząd Jego Królewskiej Mości potrzebuje chwilowo dolarów.

Następowało coś, czego absolutnie nie słyszałem. Dochodziły do mnie tylko brzęczące „dlatego... ponieważ... oraz... przy czym...” itd., i wniosek końcowy : „dlatego będziemy musieli wysłać panią Cin do...”.

— Więc twoja ciocia wyjeżdża?

— Jak widzisz.

— A co będzie...

— Zostaje Edka.

Wszystkie moje plany zawirowały nagle. Widzę tylko, jak Batia daje się typowi macać z lubością. Wpadam w pasję:

— Miłość przychodzi, miłość odchodzi.

— Jaka miłość?

— Niby wczoraj to.

— „To” nie ma nic wspólnego z uczuciem. Poza tym nie miłość przechodzi, tylko my.

Rozwarta szczelina. Nareszcie coś z niej. Zagadkowego.

— Ale czy pamiętasz, jak ja cię szorowałem wodą i mydłem? A potem ty mnie? Pamiętasz?

— Pamiętam. No to co?

Batia mówi zimno i uprzejmie:

— My, to znaczy ja i ten pan, odwieziemy cię na ulicę Chapu-Chapu 8. Oddaj mi moje dziesięć piastrów.

C z ę ś ć d r u g a

I.

Gdy kończyłem pracę u Edki, wychodziłem na ulicę. Najwyraźniej widziałem sytuację, w jakiej byłem, w oczach dzieci. One, zależnie od wieku, miały w oczach przerażenie, witały mnie pierwsze, w ogóle witały, o co tu jest trudno przechodziły na drugą stronę jezdni, udawały, że mnie nie widzą. Słyszałem też komentarz ze strony małej, mieszkającej nad nami:

— Mama, dlaczego ten Piotruś ma gumową rękę?

Wędrowałem powoli ulicami, siadając po parkach lub ławkach ulicznych. Szedłem ciągle pod murami. Czasem jakaś pani, widząc mnie z tyłu, dawała mi jałmużnę. A gdy popatrzyła z przodu, kilka razy mrugała oczami, potem w zdumieniu i pewnym popłochu odwracała głowę.

Czasem znajdowałem trochę pieniędzy w kapeluszu, po drzemce na ławce w parku.

2.

To nie problemy finansowe wpływały na mój stan. Na przykład chciałem poleżeć po mojej pracy. Wtedy pokój dostawał torsi. Gięła mu się podłoga, która prawie doty-

kała powały, w miejscu, gdzie leżałem, ściany poruszały się ruchem falistym. W końcu pokój wyrzygiwał mnie triumfalnie na ulicę. Jeszcze długo słyszałem jego olbrzymi kaszel, który był podobny do śmiechu hippopotama lub osła. Nie zachodziłem do Batii, bo bałem się. Chodząc ulicami wieczorem, zaglądałem do parterów domów. Był lipiec i koszula przyklejała się do ciała. Miasto dyszało ciężko. Otwarte okna i story. Wszystko dzieje się na ulicy. Kto mógł, wychodził na dach, by się przewietrzyć. Idealna pora do podpatrywania. Onanizowałem się czasem pod jakimś oknem, lub skradałem się od strony podwórka, wybierając dogodny punkt, aby pozostać w cieniu.

W cieniu chciały być prostytutki, które miały reakcję odwrotną do fototropicznej. Dało się też zaobserwować częstsze niż u innych kobiet reakcje geotropiczne.

Czasem spotykałem pewną żebraczkę, już bardzo starą. Była niespokojna, puchły jej bardzo nogi. Siadywaliśmy razem na ławce. Mówiła:

— Widzisz, widzisz, jak psy gonią ci ludzie.

Dyszała ciężko.

— Jak psy. Milionerki z Ben-Yehuda. A co ty robisz? Ty śpisz w pokoju, prawda kochaneczku. Prawda? Może pożyczysz mi w takim razie pięć piastrów? No. Dla ciebie to nic nie jest. Widzisz? Jak te psy.

Równocześnie czułem coraz to bardziej, w sobie i na zewnątrz, przepaść wietrzenia się, kruchości.

Czasem jeździłem autobusami, pragnąc przekonać się, przez macanie, że to wszystko jeszcze istnieje. Ale to mało pomagało.

W końcu postanowiłem udać się do dr. Siegberta. Tego, co wystawił świadectwo.

3.

Tego wieczoru wszyscy mówili o trzęsieniu ziemi, które przespałem. Przyjęła mnie żona doktora. Ona też jest przejęta trzęsieniem ziemi.

— Mówię panu, budzę się w nocy, i nie znajduję koło siebie pana doktora. Widzę małe światełko w ubikacji. Musi pan wiedzieć, że mamy dwie. Ja sobie myślę, czy mój Hans, czyli pan doktor, tak trzęsie domem? Myślę sobie, że to całkiem możliwe, bo on ma takie gwałtowne wypróżnienie. Czytam rano gazetę: trzęsienie ziemi. I co pan na to?

— Kiedy doktor przyjmuje?

— Od ósmej do drugiej w nocy. Będzie pan musiał trochę zaczekać.

Więc czekam.

— Gutentag, panie doktorze.

— Co tam?...

Byłem w dużym gabinecie i na końcu, za czerwonym stołem siedział skulony, jak pająk, doktor.

— Chciałbym, by mnie pan zbadał, obejrzał.

— A to pan, panie, panie...

Obrócił się tak, że zobaczyłem jego grube szkła.

— Pan mi zapisał, no, że tak powiem... klozet.

— Aha, aha, w tym nie ma nic dziwnego. Ja sam, wie pan, w podobnych okolicznościach, jestem zmuszony.

Marmurowy i złoty kałamarz lśnił na stole. Grube stare tomy rozsadzały bibliotekę. Zauważyłem tylko „Technika wschodzenia metafizycznego”, „Próby Dolnolotne a Somatyczna Kondycja”. Wskazał mi ręką!

— Siadać proszę — i utonąłem w pluszowym fotelu. Po chwili podniosłem się i ujrzałem pluszową sofę. Cofnąłem się w przerażeniu.

— To nic nie szkodzi — powiedział doktor. — To odruch bezwarunkowy.

— Jak to pan rozumie?

— Ze przeznaczeniem pana jest siedzieć w ubikacji, że wyrokiem Opatrzności...

— Jest pan, widzę, religijny.

— Nie, nie to. Tylko gdy się napatrzy na różne wypadki na ziemi i niebie, to się przejmuję coś z wiary w Kismet. Przykład: Kobieta, miła, zdrowa, nawet ładna, co dla mnie większego znaczenia nie posiada, przychodzi

z rakiem. Mniejsza już czego. A ja jej mówię: — „Proszę szanownej pani, nic pani nie pozostało na tym świecie jak lody śmietankowe i młodzieniec z temperamentem. Za pięć do ośmiu miesięcy jest pani trup”. A ona na to: „Co pan mówi, doktorze? Przecież ja mam męża i dwoje dzieci”. Jakby to cokolwiek miało wspólnego. Ja jej mówię: — „...się, rybko dopóki nie będzie za późno”. A ona się za dwa dni wiesza. Z taką piękną przyszłością. Co ludzie chcą, do cholery?

— A jak mój wypadek?

Tu doktor podrapał się w głowę.

— Pan jest wypadkiem skomplikowanym. Można pana oglądać w dwóch lub wielu lustrach. Pan nie jest przypadkiem o określonej diagnozie. Takie coś, jak przy literze „h”, o ile pan się zna na grafologii.

Jego niebieskie oczy, otoczone czerwonymi obwódkami.

— Ustalmy, że jest pan chrześcijaninem.

Zaprzeczyłem i zachnąłem się:

— Ależ skąd.

— Otóż właśnie. Każdy z nas chodzi do ubikacji. I pan sobie tam urządził prywatną Golgotę. I panu niewygodnie jest w pluszowym sotelu.

Głos doktora potężniał. Istotnie poczułem się niewygodnie.

— Czy wpuszcza pan panią Cin przynajmniej do ubikacji?

— Tak, nie, ona ma klucz... Miałem kiedyś sen, wstydzę się opowiedzieć. Miałem tylko sen, że pani Cin weszła do ubikacji, włożyła mnie do muszli. Usiadła...

— Ależ to bardzo dobrze.

— Nie rozumiem. Dlaczego?

— Czy pani Cin zmuszała pana po powrocie do zajmowania poprzedniego stanowiska?

— Nie. Ale...

— Żadne „nie”. Ona wyjeżdża, ponieważ we śnie z panem przegrała. Oto skończone wszelkie smycze pani Cin. Przed panem otwierają się nieskończone możliwości.

— Jakto?

— Jaki pan jest niedomyślny. Ona przegrała z panem i to we śnie. We śnie. Rozumie pan?

— Przecież ona na mnie ciągle jeździ.

— Nie szkodzi. Pan ma cierpieć. Och, biedny Piotruś. Za nas wszystkich. Zbawienne sny. Zbawienny klozet.

Doktor złapał marmurowy kałamarz i mówił:

— Gdy pan odczuwa sex przez ból... To jeszcze nic. Takich jest miliony. Gdy pan odczuwa ból przez sex... I gdzie pan nie odczuwa bólu? O, wielki Piotrusiu. Czyżby pan cierpiał za całe nieudane pokolenie? Nie wiem, na Boga Żywego, nie wiem...

— Batia...

— Rozumiem pańskie piętnastoletnie. Ale kobieta stara, wstrętna, doświadczona posiada moc. Nie wiem.

— Panie doktorze, czy pan jest wierzący?

— Ale skąd. Ja w ogóle nie jestem niczym, poza takimi sprawami. I w tym dwuznaczność pańskiej sytuacji. Wyleczą pana może kurwy. Czasem wysyłam pacjentów do nich, aby sobie oglądnęli. Zeszedł pan na dno. A nawet głębiej.

— Jak można?

— Po pierwsze to zależy także od indywidualnych dyspozycji zjeżdżania w dół, po drugie można głębiej (tu poprawił binokle), można, kochanie.

Tu wyczułem tajemnicę osobistą doktora. Czyżby on. Był jowialny, czerwony, wesolutki i nie mogłem uwierzyć. Ale byłem zbyt wzburzony.

— Tak, tak, ale proszę nie zapominać, że jest pan przynajmniej przypadkiem wieloznacznym. A czy miła jest ta Batia? — zagadnął doktor.

— Miła, tylko...

— Wiem, wiem. W takim razie jako terapię radziłbym prostytutki. I to raczej zbliżone do pani Cin. Nie muszą być zewnętrznie tak obskurne. Ale wewnętrznie bardziej. Czasem trzeba klin klinem. Jak pan pozna, co to jest prawdziwe świństwo...

— Byłem w Rosji.

— Jak pan pozna co to jest p r a w d z i w e świń-

stwo, rozkład psychiczny, gdy pan będzie u takiej na górze lub na dole, to może, może.

Milczenie. Doktor mówił dalej:

— A więc, jest pan wieloznaczną diagnozą. I podgląda pan pewno też. I jeździ autobusami. To znaczy, że się pan zbliża. Infantyizm. Ekshibicjonizm. Masochizm. Tajemnica życia i śmierci. Ta pani, o której mówiłem na początku naszej rozmowy. Czy pan mógłby tak istnieć? Rozerwałoby pana ciśnienie, tak jak rozrywa ryby głębinowe. To śmieszne, jak ogół ludzi przyjmuje świat. Nawet nie wiedzą, że są w gruncie rzeczy całkowicie izolowani.

Lecz ponieważ pan jest przypadkiem wieloznacznym — Batia. Ona ma rozpęd młodości i może pana wydobyć z matni, pociągnąć za sobą.

— Batia wyjeżdża... Ona myśli, że jeszcze coś zwojuje na tym świecie. Ja czasem też myślę.

— To bardzo ważne, czy pan tak myśli.

— Myśli, nie myśli. Trudno jest na to odpowiedzieć. Czasem chciałbym.

— Uczep się pan jej, dopóki nie wyjeżdża.

Lecz abstrahując od wypadku pana, niepokojący jest wzrost schizotypii, schizofrenii w ciągu ostatnich lat czterdziestu. Niepokojące są zmiany antropologiczne. Dawniej to tylko zespół cyklotymiczny, tak w klinice jak i w życiu. Teraz, moda tak u kobiet jak u mężczyzn: musisz być zgrabny, leptosomiczny. I straszliwa liczba schizofreników. To wszystko moda. Czy moda działa na budowę ciała? Każda smarkula jest wyższa i inna niż matka. Gdzie podziały się rubensowskie kształty? W literaturze, w malarstwie, w stylu życia? Gdzie to nas zaprowadzi?

To pytanie było skierowane do mnie. Jakby mnie oskarżał.

— A histeria? Po prostu wyszła z mody. Zostaje To-destrieb, śmierć. Śmierć nie wyszła z mody. Jeszcze się ją upiększa. I gdy pan pójdzie do jakiejś prostytutki, zobaczy pan, jak się to szybko załatwia. Człowiek, czterdzieści lat temu, mógł przyjść do burdelu, i pomaleńku. Szybkość jest w ogóle straszną rzeczą. Nie tylko w sexie. Tylko cyklo-

tymia zna złoty środek. To schizotypicy nadają tempo. I potem zostają internowani. A czy zauważył pan taką drobnostkę, jak skala głosu?

— Nie całkiem.

— Otóż dziś tylko jazzowy alt. Dawniej panowała era sopranu. Gdy dziewczyna śpiewała altem, mówiono, że nie ma głosu.

Doktor wyciągnął się wygodnie, kładąc nogi na stół. Chwila milczenia. Obserwuję. Typowy leptosomik, schizoid. I doktor dodał zduszonym szeptem:

— Przecież Bóg, sam Bóg jest schizofrenikiem.

Wizyta skończona. Wyprowadza mnie z gabinetu.

— A teraz ośmielam się polecić pewnego optyka na Allenby. On reguluje patrzenie, niezawsze poprawnie.

— Mam wzrok całkiem dobry, doktorze.

— To nic nie szkodzi. Niech pan tam przy sposobności zajdzie. Do widzenia.

4.

Na razie poszedłem do domu, namyślając się nad tym, co mówił mi doktor. Była pierwsza. Wchodzę cicho na schody i słyszę, że pokój, mimo że wchodziłem cicho, zaczyna złośliwie wymiotować. Schodzę na dół.

Na samym dole, paliła się jeszcze mała lampka u sąsiada, chorego na raka. Był to miły, wykształcony, starszy człowiek. Pomyślałem sobie, że może u niego posiedzę, aż temu na górze przejdzie. Wchodzę. Mówię dobry wieczór. Ma żółtaczkę, która nie ustępuje. Skóra jest pokryta ranami. Tak się drapie. Jeszcze czuwa. Czyta książkę: Nietzschego. Łapię go na zdaniu: „Rozkazuję wam zgubić mnie, a odnaleźć siebie; i dopiero, gdy zapomnicie o mnie, wrócę do was”.

— Moja żona jeszcze nie wróciła. Jest u dzieci. Może tam zostanie na noc.

— A pan jak się ma?

Chwilę drapie się w milczeniu.

— Ech, tam, nie najlepiej.

— Co panu dolega?

— Jak się robi gorąco, to coraz to bardziej swędzi.
Poza tym — chudnę.

Milczenie.

— Słuchaj pan, ja słyszałem, że rak może być żeński i męski.

— Ja o tym nie słyszałem.

— Nie bój się pan. Ja i tak udaję, wobec żony i synów, że nic nie wiem. Oni udają przede mną. W ten sposób jest im, i może i mnie, lżej.

Pomyślałem: Oto cywilna śmierć mieszczańskiego bohatera.

— Nie chcę zawstydząć synów, dlatego się nie wiem. A mam jeszcze dość sił.

— Już późno, muszę iść. Dobranoc.

Chwilę namyślałem się na ciemnych schodach. Potem poszedłem cicho do mojego pokoju. Już się nie rzucał.

Dziewczynki z naprzeciwka dawno przestały się rozbiierać, ubierać. Cienie kobiet ciemno-tropiczne, geotropiczne. Mgły wstają z morza. Nad ranem zawsze jakieś klaskanie, które przechodzi w pisk.

Następnego dnia prosiłem Edkę o pożyczkę. Na jedną kurwę. Błagałem. A nuż mi pomoże? Dał.

Gdy skończyłem pracę, poszukałem bardzo uważnie jakiejś odpowiedniej. Nie za młodej. Gdy już było, ku mojemu zdziwieniu, po wszystkim usłyszałem z niszy głos męski:

— Proszę pozwolić.

Za kotarą siedział typ pogarbiony, zurzędziały.

— Niech pan łaskawie spocznie.

Miał wielką księgę przed sobą.

— Imię? Nazwisko? Skąd pan wziął fundusze?

Wtem alfons-konfident. Składa jakiś raport.

— Proszę zaczekać — powiedział gość z wielką księgą.

Do alfonsa:

— Więc dochodu czystego ile? Aha. „Szantaż prosty”.

Ile?

Sutener zanurzył swój nos w wielkie starannie owłosione ucho. Mruczał. Urzędnik odwrócił kartę grubej książki, na której widniało konto „żonaty człowiek”.

— Ile?

I znów obróciła się karta wielkiej książki i ukazało się konto „kiedyś zapłacił, gówniarzu?”. I potem „och, przyszedł mój mąż”.

— Ile? Ile?

Nagle otworzyły się małe drzwi. Do wnętrza pokoju weszła kobieta. Była ubrana ostentacyjnie ubogo:

— Czy jest niemowlę?

— Oba wypożyczone. — Gość z grubą księgą popatrzył na zegarek. — Możesz przyjść już za godzinę.

W tej chwili wymknąłem się przed kobietą. Konfident wypadł za mną, ale ja się przyczailem. Nie znalazł mnie.

Więc idę spokojnie i myślę. To nie pomogło. Siadam na ławce w małym parku przy Gordon. Księżyc krąży nad moją głową. Liście cicho stukają o siebie. Druga. Trzecia. Napięcie rośnie. Trzecia trzydzieści. Dławię się. Czwarta. Drzę. Pot cieknie. Szczękam zębami. Nareszcie sen.

Sen był wybuchem snów. Po przebudzeniu został jakiś perłowy osad, pobłyskiwanie, prześwietlanie.

Po pracy jadę na ulicę Allenby, aby skorzystać z rady doktora, danej mimochodem, tym bardziej ważnej. Jadę, koło mnie siedzi chałaciarz, rzecz w Tel-Awivie rzadka, i przypatruje się. Myślałem, że wyjmie milsa, ale on rzekł:

— Poszukuję kalikę.

— W jakim celu?

— Do produkcji wody sodowej. Bo wie pan, się ma kalikę... A czy pan jest urzędowy, uprawniony?

— Nie. Poza tym jestem kupiony.

Machnął ręką i wysiadł na najbliższym przystanku. Wysiadam i ja. Zapada mrok. Przechodzę koło jakichś słupów reklamowych. Kiosków. Na kioskach plakaty. Reklamy kinowe. Kobiety na afiszach mają zawsze wydrapane oczy, dziurawe piersi, międzykrocze, usta. Zaplątałem się w nu-

merach. Chodzę i nie mogę znaleźć. A tu coraz bardziej mnie przypieka pewna potrzeba. Więc pukam do pierwszych drzwi:

— Puście, dobrzy ludzie.

5.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich pani. Starsza młoda pani powiedziała, gdy spytałem o klozet:

— Proszę, tam, niech się pan nie krępuje.

Powiedziała po polsku miłym głosem. Wiedziałem, że jest tu wiele rodzin polskich, dlatego nie zdziwiłem się. Poszedłem i wypróżniłem się. Potem, gdy miałem pociągnąć za rączkę od rezerwuaru, zobaczyłem, że rezerwuaru nie ma. W takim luksusowym domu — pomyślałem. I wtem zauważyłem, że cały klozet jest drewniany, że drzewo pachnie w słońcu. I zobaczyłem przez okrągłą dziurkę sztachety drewniane, jakieś drzewa owocowe, jabłoń i różowe kwiaty. Posypane delikatnie. Zobaczyłem słońce i trochę chmur. Pani już całkiem młoda, ale ubrana w suknię do kostek, o fiołkowych oczach, prowadziła pięcioletnią dziewczynkę. W koszulinie jednej. I rozmawiała z nią. Dziewczynka mówiła:

— Ja kazu, kiń.

— Nie.

Trzymała w ręce prowokacyjnie duży muchomor.

— A ja kazu, kiń.

Wtedy pani, uśmiechając się, rzuciła grzyb.

— Mołodziec, szto posłuchała.

Z dali jacyś robotnicy. Nie — orzący pole. Pani zwróciła się do mnie:

— Ta mała jest tak urocza.

W dali: Onufry, Onufry.

— To córka naszej służącej, Jewdokii. A teraz pokażę panu z grubsza naszą posiadłość. Zaczniemy od Brzozowej

Kępy. Potem jest las szpilkowy, sosnowy, i po części mieszany. Tam jest droga do Szypowszczyzny. A tu obok drogi jest Polanka. Ale najważniejszy — to Piotropol. Ojciec zbudował groblę. Odgranicza bagna. A jak się idzie z Brzozowej Kępy przez las do Piotropola — wyskakuje krzyż. To taki drewniany, już zielony Chrystusek. Gdy las robi się rzadszy. Z Piotropola idzie się groblą, znów krzyż, do Zakątka. Musiałby pan tam właśnie skosztować owoców. Tam mieszka mój brat starszy, Ksawery. I z tego wszystkiego zapomniałam panu pokazać Stawek. O, tu, za tymi trzciniami, tam gdzie krążą kaczki. I siedzą cicho głąszce. Z Zakątka idzie droga, hen, aż do Baranówki. Z dali:

— Kuźma, pohodi.

Karbowy przyprowadza brodatego chłopca:

— Nie panoczku namilejszy, my tolko brali drwa do pieczki.

— A jak wam idzie? — spytała panienska.

— Chleb z lebiodą i korą brzozową pieczem.

— A gryby macie?

— Maleńko, najświetlejsza panienko.

— Oj, Artemuk, Artemuk, puśćcie go, karbowy.

A tu powietrze z pól ciągnie przeźroczyste, chłodne. A powietrze z lasu ciągnie zielone, ciemno-iglaste. A karbowy ciągnie:

— Ten tu libacyje urządzi w krzakach z dwiema staruchami. A te staruchy się za kudły biorą, którą więcej chce. I tak, proszę panienki.

— Puśćcie go, karbowy.

— Jeszcze czorta napytuje — mrucał. Bo to oni, proszę panienki, z przeproszeniem gorzałę i. No, Artemuk. Poszoł.

Teraz panienska mówi:

— Ślicznie przepraszam, ale bracia na polowanie poszli, hen, za Burczaczkę, i ja kawalera nakarmię, bajkę opowiem straszna.

Uśmiechnęła się przy tym, zakręciwszy oczyma jak z miki. Warkocze aż do ziemi, słońce się prześlizgnęło na

twarzy, zostawiło ją w cieniu, z którego patrzyły jedynie niebieskie oczy.

— Ja kawalera proszę.

I weszliśmy w ogród, w dom, pomalowany na biało, z białymi okienicami, w spokój, gdzie tylko brzęczały muchy. Była boso. Weszła ze mną do domu, do salonu, gdzie była niedźwiedzia skóra, gdzie sowy stały wypatroszone, gdzie wielki zegar bił godzinę dwunastą.

— Wędliny tu domowe i bardzo dobre. Czy zje pan nerki wędzone pod pułapem? Czy głowiznę cielęcą? Czy coś z wieprza? Wszystko domowe.

— Wszystko mi jedno, proszę pani.

I pani robiła się to czerwona, to blada. Niepewny uśmiech. Pod powałą lep na muchy, pelargonie za oknem.

Wiosna. Kora drzew, mokra i zielona. Błyszczała ciemno i zielono od mchów. Chmury, wielkie jak góry, dzieliły się na zielone, złote, bure, ciemne. Panienska:

— Dość, Maryna, dość.

Deski gładko heblowane, woskowane. I jakieś portrety na ścianach z dziwnie wykręconymi głowami. Między nimi pani o fiołkowych oczach.

— To moja matka.

A tu kot siedział w proboszczunia, cały czarny. Miał tylko wycięty biały krawacik i pantofle białe. Z daleka znów: — Onufry...

W wazonie na stole czeremcha, jeszcze wilgotna. Stara szafa jesionowa. I orzechowa biblioteka. Ceratowa kanapa. Usiadła na kanapie, włożyła ciżemki.

— Bajkę straszną opowiem, Alima przygotowuje jedzenie. Ja zresztą sama przypilnuję.

I poszła długim korytarzem w stronę kuchni. Z kuchni dało się słyszeć nagabywanie: — Nu wot chaziajuszka, ćwietoczek moj ślicznieńkij, anu prikiń, anu prisyp, choć trozku, choć żemku.

— A poszoł won, świnia, k'czortu materi — odezwały się cztery głosy żeńskie.

I chłop, śmiejąc się, pozwalał się bić przez dziewczyny. Miał na sobie odwieczne dwanaście kozuchów. Nie zdej-

mował ich w lecie ni w zimie: w lecie chroniły od gorąca. Wróciła panienska w szubie, podbijanej kotami. Niosła potrawy, których nie opiszę.

— Tereniu, Tereniu — odezwał się delikatny, starczy głos.

— To dziadek mój — powiedziała.

Weszła do pokoju (ja za nią), który był prawie że ciemny. W fotelu starszy pan z pijawkami za uszami.

— Zdejm już te zwierzątka — powiedział.

Młoda pani wrzucała do słoja pijawki.

— Z bagien przynoszą bracia — wyjaśniała. — Bydło tam pędzimy.

— Posłuchaj, Tereniu, tego dykcyonarza: czy to nie nasi krewniacy? Jucewicz (Ludwig-Adam) napisał „Przyśłowia ludu litewskiego”, Wilno 1834. Czy to przypadkiem nie nasz?...

— Nie sędzę, dziadku.

Wyszła. Z daleka od pól:

Oj kazali ludzie da ludzie

Polubiła Pietrusia

Ej ty srocza bieleboczka

Oj skrypić mojo serce, jak koła bies mazi...

— Pani obiecała bajkę straszną.

— No, proszę usiąść, to opowiem.

Namyśla się chwilę.

— Był sobie dziad i baba. On miał córkę i ona też. Córka dziada wesola była, pracowita, dobra. Córka baby leniwa i zła. Umyśliła ją zagubić, swoją pasierbicę, bo przez wszystkich więcej lubiana była. Zaczęła więc nastawać na dziada, by ten ją wywiózł z domu i zostawił w lesie. I tak dziad też zrobił. Wieczór się zbliża, ona poczęła wołać: — A chto u poli, a chto u lesie, prydz ko mnie hetu noczku naczawać. Dziewczyna siedzi i czeka, a tu stuka niedźwiedź w sosnę: — A ja u poli, a ja w lesie... Pyta, czy się może zbliżyć. Gdy otrzymał twierdzącą odpowiedź mówi: Dzieńka dziawica pierestań maju łapu...

Wtem powóz zajechał przed dom. Pani panienska przestała opowiadać. Wstała i powiedziała:

— Musimy się już żegnać, bo...

I zaczerwieniła się. Ja krzyknąłem:

— Dlaczego? — i znalazłem się na ulicy Allenby.

6.

Wtedy zdałem sobie sprawę, że nie mogę do tego świata dotrzeć. Ze zduszonym gardłem zawołałem do siebie: — Z głębokości wołam do Ciebie.

Długo wzdłuż murów i bram. Już późno. Ale nie chciałem iść do domu i spać. Czekanie do rana.

Promenada nad morzem: Światła — występy, które można za darmo widzieć siedząc z fasonem z daleka na balustradzie. Trzech Meksykańczyków, jeden Włoch, automaty do gry najromatysze. Kukurydza. Falafel. Wilgotno. Zapach morza, słonych wodorostów, krewetek, ślimaków. Nieodłączne prostytutki, pół-prostytutki. Alfonsi rozwożą jeepami swoje dziewczęta, które potem kontrolują. Małe gromadki dziesięcioletnich chłopców. Zatrzymują się, potem idą, krzycząc głośno, dalej.

Gdzieś koło dwunastej sprzedawcy zwijają swoje kramy. Obejmują swoje funkcje stróże nocni, znany mi pomocnik pomocnika w pilnowaniu samochodów. Zamiatają ulice. Potem jeździ samochód-elektrolux. Pod lokale nocne zajeżdżają taksówki i pijani żołnierze z kurewkami.

Pora przełomu. Nic się nie dzieje, lecz wszystko delikatnie drga.

Pierwsze budzą się, jeszcze przed wschodem słońca, ptaki, które wydają odgłos: glup, glup, glup. Są dość duże i nie widać ich w czasie dnia. Małym autem rozwożą gazety, pieczywo. Uroczyście podnoszą się mgły nad morza. Dnieje. Przez puste ulice jadą rowerami śpiący ludzie. Pierwsze busy. Maniacy kąpią się w morzu.

Po pracy, w czasie której wyspałem się nieco, postanowiłem iść jednak do Batii. Machlul barak 38. Mam tremę. Trochę szczękam zębami. Przecież ją poznałem w kwietniu, kiedy zapach ciężki ciążył na wargach. Wszedłem. Spodenki. Koszula. Jakby mnie widziała wczoraj:

— Piotruś, pojutrze wyjeżdżam. Wyjeżdżam. Tak się cieszę. Już jestem spakowana. Niedużo tego, ale wyjeżdżam.

Byłem lekko ogłuszony. Nie, nie cierpiałem. W znieczuleniu prawie wesoły. Zdawało mi się, że powinienem się bać, ale nie umiałem. Czułem, że czegoś nie rozumiem. Jakbym był oślepiiony w pewnym punkcie. Usiłowałem nadaremnie przypomnieć sobie to, co zapomniałem. Ale byłem pewien, że coś tam było jeszcze. I nagle zrozumiałem, że tego nigdy nie zobaczę. To nie było do patrzenia ani do rozumienia. To była część śmierci.

Ona nagle zbladła i krzyknęła na mnie:

— Idź już. Idź już.

Już wiedziałem. Czy warto ryzykować życie dla wielu lat konania? Znałem to już. „On nic nie słyszy, biedny. On nie rozumie, co się do niego mówi. On jest nieprzytomny” — mówiła Anka, Lotka. A ja wszystko słyszałem i rozumiałem doskonale. To będzie gorsze. Konanie, w milczeniu, przez lata. Zamurowany w własnym ciele (jak mniszki zamurowywano).

I wtedy wejdą zwierzęta do twojego pokoju i siądą na tobie spokojnie, jak na kamieniu i ziemi.

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 20 JUILLET 1960
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD,
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).

Dépôt légal : 3^e trim. 1960



